№ 47. Warszawa, dnia 12 (24) Listopada 1877 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej

(Dalszy ciąg).

Rozdział III.

Pan Berek, jak go powszechnie pomiędzy nadwiślakami nazywano, od małego już pacholęcia zajmował się handlem jako pomocnik przy swoich rodzicach. Z matką przedawał owoce, z ojcem ryby za Żelazną bramą. Gdy podrósł zaraz ożenił się i handel zaczął prowadzić, najprzód z rodzicami jako wspólnik, a później, odebrawszy posag sto rubli wynoszący, wystąpił samodzielnie jako hurtowy dostawca ryb i owoców. Była to praca niezmiernie mozolna zmuszająca do częstych podróży pieszo i na przysiadanie się do różnych wózków, często o chłodzie i głodzie, z zapasem kilku cebul, śledzia i kawałka chleba. W podróżach tych nieraz przemókł jak ryba a zmarzł jak kość, nigdy jednak nie narzekał, nie przykrzył sobie, a gdy z wycieczki czasami kilka dni trwającej, wygłodzony, wyziębiony, oblany potem lub deszczem zasiadł przy domowem ognisku i pożywiwszy się kawałkiem mięsa lub gęsiny rozparł się w krześle wyłącznie jemu służącem, to tak się cieszył wygodą jakiej doświadczał, tak radował odpoczynkiem pod własnym dachem, tak dowcipkował i wesoło gwarzył z rodziną, że mógł mu każdy pozazdrościć szczęścia własnem zdobytego staraniem. W tym zabiegu handlowym idąc stopniowo od kupna całego wozu z towarem do dzierżawy małego sadu lub sadzawki, a od tych do większych ogrodów i całych stawów i blizkich i dalszych, rozszerzając promień swej działalności coraz dalej i dalej aż nawet po za granice kraju, nic dziwnego że przy oszczędności i niczem nieznużonej pracy, porastając coraz lepiej w pierze, z małej izbiny zajmowanej na współkę przeniósł się do oddzielnego mieszkania, później do większego i miał własną na resorach bryczkę i konika wcale okaźnego. Ciągle czynny i zajęty, myślący jedynie o interesie korzyść przynoszącym, do hurtowego handlu rybami i owocami, przyłączył jeszcze dostawy piasku i żwiru do budowli nowo wznoszonych zarówno na Pradze jak w Warszawie. Ztąd znajomość jego z nadwiślakami i starania usilne o utrzymywanie z niemi jak najlepszego stosunku. Nazywali go też powszechnie dobrem żydziskiem a jeżeli każdy z nich był przekonany, że w powierzonej robocie nie dozna krzywdy ani oszustwa a nawet pewnego wyrozumienia w dodatku nadzwyczajnym na wódkę lub piwo lub sutym poczęstunku, to Berek znów był przekonany, że lepiej coś stracić przy niesłusznem domaganiu się, jak narazić na nienawiść klasy ludzi, mogących mu bardzo dokuczyć a nawet przez zemstę na wielką narazić szkodę. W zwadzie też choćby najmniejszej, w przedstawieniu jakiego żądania choćby najniesprawiedliwszego, gdy szło nie o wielkie rzeczy, zwykle ustępował; w ważniejszych sprzeczkach zdawał się na sąd innych nadwiślaków i jak ci zawyrokowali tak wyrok przyjmował pewny że nie dopuszczą się w nim zbyt rażącej niesprawiedliwości. Nie odmawiał także im pomocy i ratunku w kłopotach, ale wprzódy rozpoznał je należycie, wybadał, wymacał prawdę choćby najstaranniej ukrywaną, i jeżeli uznał że pomoc nic dobrego nie przyniesie, odmawiał jej ale tak zręcznie, tak odmowę osnuł różnemi radami, wyjaśnieniami, wreszcie wykrętami, że interesant wychodził wprawdzie z nosem trochę spuszczonym ale bez gniewu.

— To są dzieci, mówił zwykle do znajomych, trzeba więc z niemi jak z dziećmi postępować żeby bardzo nie krzyczały. Oni nie są źli tylko głupi i krzyczą wtedy dopiero jak boli, ale żeby robić tak aby nie przyszło do bólu, to oni tego nie umieją. Ja też im tłómaczę i tak i owak, troszkę *szacher*, troszkę *macher* jak można, żeby i wilk był syty i owca cała. No, co robić, z ludźmi trzeba różnie żeby pazurów bardzo nie pokazywali, a Nadwiślaki mają pazury.

Kiedy Berek prowadząc Franka przez dwie pierwsze izby, karcąc dzieci żeby się uspokoiły i ciągle powtarzając: aj! co to za gość taki niespodziewany! wprowadził go nareszcie do ostatniego pokoju do którego nikt nie miał przystępu, wskazując krzesełko rzekł:

— No siadaj pan, panie Skowroński, co tam między wami słychać? Teraz zima to trochę skąpo.

— Pan Berek wie że się groszem umiem rozporządzać.

— Aj! a ktoby to nie wiedział, pan Franek wie dobrze że i w zimie i w lecie jeść trzeba. No ale co tam słychać dobrego?

— Dobrego niewiele, przyszedłem do pana Berka po interesie, bo...

— To bardzo dobrze, przerwał Berek gładząc brodę i cmokając ustami. Pan Franek ma głów to i interes będzie güt!

— Ej! nie idzie tu o żaden interes dla pana Berka tylko dla mnie.

— Dla ciebie panie Franek? Aj! to powiedz, ja nie taki zazdrośny, lubię zarobić ale i pomogę drugiemu.

— Oto chciałbym łódź kupić...

— Łódź? To bardzo piękny interes, aj! co to nią za zarobek przez całe lato! aj! aj!

— Pan Berek powiedział że mi dopomoże...

— Za co nie mam dopomódz? Takiemu porządnemu nadwiślakowi jak pan Franciszek, to dla czego nie?

Jednocześnie podbiegł ku drzwiom i zawołał głośno o podanie wódki z miodem.

— Już piłem w domu, to pocóż ma się pan Berek szkodować.

— Mała szkoda, moja wódka to jak cukier nie idzie do głowy, a z takim gościem za co nie mam się napić?

Przyniesiono wódkę zawsze gotową na zawołanie, kieliszki zostały nalane, trącono się niemi, Berek pokosztował, pochwalił, przyjrzał się trunkowi pod słońce i potem stawiając kieliszek na stole rzekł:

— No, teraz pogadajmy o interesie; jak robak nie kręci w brzuchu, to język luźniejszy. Więc pan Franek chce kupić łódź?

— Tak sobie umyśliłem.

— To bardzo dobrze! i zwracając się do drzwi w których sterczała głowa dziesięcioletniego chłopca, zawołał: Lejba, powiedz matce żeby dała pierniki i makagigi.

Przez czas przybycia nowego poczęstunku, Berek kręcił się po izbie, przerzucał papiery, otwierał szuflady, szukał, szperał, wreszcie wydobył cygaro i położył je przed Frankiem.

— Dziękuję, odezwał się Franek, nie palę bo to kosztuje, a ja chcę się dorobić.

— Aj! jak to mądrze! zawołał Berek zawijając brodę na palce. Ja po całych dniach żyłem tylko cebulą i chlebem, a dziś codzień jak zechcę mam gęsinę i wódkę słodką i kugel i masło. To bardzo mądrze co pan Franek nie pali tytoniu.

— Zbieram za to pieniądze.

— Co, pieniądze?

— Tak, mam już dwanaście rubli w kasie oszczędności a potrzeba mi do kupna łodzi jeszcze...

— No, co tu gadać co potrzeba, przerwał Berek. Ile potrzeba to ja dodam, a jaki będzie procent?

— A bo ja wiem. Tyle co sam pan Berek oznaczy.

— Co ja oznaczę? A jakby ja chciał złotówkę od rubla na tydzień?

— Troszkę za wiele, ale dam jakby nie mogło być inaczej, odrzekł Franek frasobliwie.

— Aj! panie Franek, zawołał Berek uderzając się palcem w czoło. Ja myślałem co u ciebie tu lepiej, a w twojej głowie tak samo jak u łapserdaka bez koszuli. To wielki procent i ty mówisz co dasz? Aj Franek, Franek, jaki ty głupi.

— Jak trzeba to trudno, odrzekł Franek nic niezdziwiony szorstką uwagą Berka.

— Co to trzeba, trzeba! A kiedy to nie trzeba kiedy pieniądz zawsze potrzebny?

— To też niech sam Berek z procentu co odstąpi.

— Aj! Franek, Franek, odezwał się Berek chwiejąc głową to w prawo to w lewo. Ty na prawdę widzę żeś bardzo głupi.

— Juścić w szkołach nie byłem.

— Co to szkoły! Ja także w szkołach nie byłem, a wiem że takiego nadwiślaka jak pan Skowroński co go szanują wszystkie nadwiślaki, zdzierać nienależy.

— To wiele pan Berek chce procentu?

— Ja, procentu, od ciebie? zawołał Berek zrywając się z krzesła i gładząc Franka po twarzy, czy ty Franek zwaryował czy co? Czy to my nie jesteśmy przyjaciele? Pomogę ale bez procentu, a potem będę ci codzień z zarobku odtrącał.

— A to Bóg zapłać panu Berkowi, odrzekł Franek wzdychając. Spadł mi z serca wielki ciężar że przyjdę przecie do własnej łodzi. Ze mną nie będzie żadnego zmartwienia...

— Czy to ja nie wiem, czy co? W lecie przewóz, piasek, żwir, to zarobku nie braknie, a w zimie to zawsze się coś znajdzie.

— To się wie.

— Ale co za ciężar pan Franek miał na sercu?

— Ej zwyczajnie, i Franek potrząsnął głową.

— Czy to Berkowi nie godzi się powiedzieć?

Franek w milczeniu spojrzał w podłogę?

— Aj! to musi być wielki ciężar, skoro tak przez język nie chce się przecisnąć.

— Ej! nie tak wielki, tylko... żo jakoś nie śmiem.

— Co to nie śmiem, czy to śmiałość kupuje się czy co? Przecież za nią nietrzeba płacić.

— Oto widzi pan Berek chcę się ożenić.

— Ożenić? Aj! to bardzo rozumnie, w kawalerstwie to człowiek zawsze łapserdak niczego dorobić się nie może... A z kim chcesz się żenić panie Franek?

— Nie zna jej Berek.

— Co to znaczy? Nie znam, ale poznam jak będzie panią Frankową. Co to za jedna? zapytał Berek przeciągłym głosem gładząc brodę i troszkę przymrużając oczy.

— Biedna szwaczka, sierota jak ja.

— To bardzo pięknie że za bogactwem nie gonisz panie Franek. Swój ze swoją to najlepsza para, ale za to musi być pewno śliczne, cacane dziecko?

Wymówiwszy to Berek kląsnął parę razy ustami, wyciągnął rękę z palcami w kupkę złożonemi i pokręcił głową. Franek uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Z brzydką przecie nie żeniłbym się, odrzekł po chwili.

— Ja wiem co pan Franek dobre ma oczy: i umie niemi śmigać, odrzekł Berek i nagle zmieniając wyraz twarzy żartobliwy na poważny i spoglądając bacznie na Franka wielkiemi oczami, zapytał:

— A czy uczciwa?

— O! uczciwa dziewczyna mieszka z ciotką i ze swoją przyjaciółką i zarabia na życie szyciem.

— Aj! to się żeń choćby dzisiaj! zawołał Berek i palnął Franka jedną ręką w piersi drugą w ramię. Na wesele i Berek się zaprosi a żona moja przygotuje taki kugel jak mały dzieciak.

— Ej! wesela zapewne nie będzie żadnego...

— Dla czego nie ma być wesela? przerwał Berek zrywając się z krzesełka i znowu siadając. Przecie przy takim interesie, to godzi się i tego owego poprosić, niech się ludzie radują.

— Ej! ja to wiem, ale to wielki wydatek, a u mojej narzeczonej nie ma zbytku.

— To ona nie ma żadnego posagu? zapytał przeciągłym głosem Berek i znowu oczy przymrużył.

— Przecieć mówiłem panu Berkowi, że jest biedną sierotą.

— Co to biedna sierota, zawsze może mieć przecie posag.

— A zkądże go weźmie?

— Zkąd? Czy to posag zawsze się bierze od ludzi?

— A od kogóż?

— Od kogo, od kogo? Jak ludzie dać nie chcą, to człowiek bierze go od siebie.

Franek spojrzał na Berka nie rozumiejąc odpowiedzi.

— Aj i pan Franek tego nie rozumie?

— Nie rozumiem.

— Aj! co to za wielkie rzeczy! Pan Franek sierota i bez majątku, wszak prawda?

— To wszyscy wiedzą.

— No i ja wiem, a jednak w kasie oszczędności ma już Franek dwanaście rubli, a z czego się one zrobiły?

— Oszczędzałem, pracowałem to i uciułałem.

— No, to niech ona oszczędza, pracuje i ciuła a będzie posag.

— Co tam znaczą te kilkanaście rubli.

— Daj pan pokój panie Franek, gadać tak, to niedobrze. Za dwanaście rubli kamienicy nie kupi, ale to bogactwo, to wielka sztuka zebrać je gdy nie ma z czego zbierać. Niech ona taką samą sztukę potrafi a będzie posag.

— Toby na to trzeba długiego czasu, a...

— A pan Franek nie chciałby czekać? No, ja wiem, że żenienie to pilność wielka. To sześć rubelków niech zbierze, trzy panie Franku, trzy! Czy to takie wielkie rzeczy? I mówiąc to znowu Berek palnął Franka jedną ręką w piersi drugą w ramię.

— A i cóż to za pieniądze?

— Co za pieniądze? Tu nie idzie o pieniądze, tylko o to z czego się te pieniądze zrobią. Ona młoda i z urodą, to lubi i kapelusze i sukienki, i to i owo, a na to wszystko straszny wydatek. Jak się ona teraz nauczy chować to co ma na niej świecić, to taką na zawsze pozostanie i pan Franek zawsze będzie miał spokojną głowę. Jak się tego nie nauczy, to potem będzie umiała tylko gadać, daj i daj, a zkąd tu dawać nadwiślakowi co musi wszystko wypracować?

— To prawda, potwierdził Franek wzdychając.

— No to widzisz, niech ona taki da tobie posag a interes będzie czysty jak szkło, fejn, cacko, cacko!

Przy tych słowach nowe uderzenie nastąpiło, że aż Franek pochylił się w tył.

— Nie ma co gadać, ale Berek mądrze mówi, odrzekł przekonany niezbitem dowodzeniem słów i dość silnych uderzeń.

— No to widzisz, ty nie głupi chłopak, ty wiesz sam dobrze co parzy a co ziębi. Z innym jakim głupim jabym tak nie gadał, ani częstował wódką z miodem i piernikiem. Z tobą inna rzecz panie Franek, bo żeby ty się był urodził w jakiem państwie; aj! coby ty był za człowiek.

Franek smutnie westchnął.

— Powiem jej to cośmy z sobą mówili panie Berek.

— Nie panie Franek, powiedz jej to od siebie, po co Berka do tego mieszać. Niech ona wie że taka rzecz z twojej wyszła głowy, a jak będzie miała książeczkę z kasy oszczędności, to przyjdź panie Franek a pogadamy o łodzi.

Franek podrapał się w głowę zafrasowany.

— Albo to na to tak długo czekać trzeba? odezwał się Berek odgadując z miny Franka co myśli. Miesiąc, dwa miesiące, czy to tak długo? Żona to jak drogie futro co przy kupnie to patrz i patrz, żeby nie było podfarbowane, nicowane, podszachrowane, podszarzane, a czekanie to jak pieniądz co na nim procent urośnie. Jeżeli ona zrobi teraz tak jak jej poradzisz, to i będzie ci posłuszną, to potem usłucha w każdej rzeczy i będzie güt, będzie uciecha. Jak nie zrobi, to pokaże że mało ciebie waży a co ci po takiej żonie?

— To prawda, odrzekł Franek, poradzę jej.

— Przecieć ty dla niej zrobiłbyś wszystko coby chciała...

— Poszedłbym na skraj świata choćby do Ameryki...

— Na co tak daleko? Ale kiedyś taki ochotny do tak dalekiej drogi, to niechże ona pójdzie dla ciebie do kasy oszczędności z pieniędzmi, to przecie bliżej niż do Ameryki. Czy nie prawda?

— Juścić prawda.

— No to widzisz, po co tu zwieszać głowę jak kapcon jaki? odezwał się Berek i obracając Franka to w prawo to w lewo, szarpiąc za klapy i uderzając w piersi i po ramieniu mówił dalej: Będzie wszystko güt panie Franek, będzie i łódź i wesele i żona z takiego cacanego dziecka.

I przy tych słowach wykręcił Franka w kółko, czapkę przesunął na bakier, zaśpiewał i klasnąwszy

w ręce podniósł poły rewerendy jakby w taniec miał się ochotę puścić.

Franek rozśmiał się i w najlepszem usposobieniu rozstał się z Berkiem.

Przy pożegnaniu poczęstowany jeszcze wódką dostał kawał piernika i kilka makagigów na podarunek dla swej narzeczonej.

— Taka delikatna panna, mówił Berek zawijając w papier przysmaki, to lubi także delikatne rzeczy. Niech jé i będzie zdrowa i niech kocha pana Franka (*).

Franek zagłuszony wymową Berka a oszołomiony szarpaniną i szturchaniem cokolwiek za energicznem, w pierwszej chwili nie mógł zebrać własnych myśli. Pomału jednak przyszedł do siebie i rozważywszy na zimno udzieloną mu radę, uznał całą jej słuszność, zwłaszcza że Berek pomocy nie odmawiał. Szedł zatem szparko myśląc o figlarnych oczach Józi i jej wiecznie uśmiechniętym buziaku, o radości jaką jej sprawi niesionemi podarunkami i o przyrzeczonej pomocy na kupienie tak przez niego upragnionej łodzi. Co do skłonienia jej do robienia pewnych oszczędności, nie miał wielkiej nadziei, ale pocieszał się że pewną kwotkę choćby nader małą zdoła co tydzień oszczędzić, a on sam zawsze coś do tego dołoży żeby się było z czem przed Berkiem pochwalić.

Kiedy wszedł już na Pragę i skierował w ulicę na którą wychodziły okna od mieszkania Józi, nagle z kamienicy ujrzał wychodzącego młodego mężczyznę w futrzanej eleganckiej okrywce, w nowym kapeluszu z pod którego gęste pukle ciemno bląd włosów wysuwały się. Franek przystanął i tak zarumienił się jakby krew mu z twarzy wytrysnąć miała: młodzieniec w świecących kaloszach wywijając małą laseczką, obejrzał się ku oknu facyatki i dwóm twarzom kobiecym przytulonym do szyby w oknie, przesłał ręką kilka pocałunków, na które one chichotem i kiwaniem głowy odpowiedziały. Były to twarze Józi i jej przyjaciółki. Franek na to wszystko patrzył i stał jak w ziemię wmurowany. Drgały mu usta, policzki kraśniały i bladły, pięście ściskały w kułaki a oczy błyszczały taką wściekłością, jakby wyrzucić z siebie chciały płomień wszystko niszczący. Nagle dziewczęta spostrzegły go, szybko usunęły się wgłąb izby, a Franek pobiegł na górę. Drzwi zastał zamknięte, zatrząsł niemi wołając: otwórz! otwórz! i zakołatał z całą potęgą siły i gniewnego uniesienia. Z wnętrza nic nie odpowiedziano. Gdy ponowny szturm jeszcze natarczywszy równie był nadaremny, Franek umiejący sobie radzić, podniósł gruby kij leżący na strychu, podsunął pod drzwi, dźwignął i wyważywszy z zawias wszedł do środka. Obie dziewczyny jak spłoszone przepiórki krzyknąwszy, pobiegły za forsztowanie. Franek poszedł za niemi i zatrzymując się na progu, wlepił spojrzenie w młodą dziewczynę o której przed chwilą tak rozkosznie marzył. Józia drżąca jak listek, stała z największem przerażeniem za swą przyjaciółką, wołając prawie konwulsyjnie:

— Maryniu, broń mnie, broń! bo mnie zabije.

Franek nie posunął się kroku naprzód, patrzył i milczał, ręce i usta drgały mu, twarz bladła, czoło marszczyło, oczy pałały. Biedak! cierpiał, zdawało się że padnie martwy... upamiętał się jednak i rzucając kij na ziemię, odezwał się głosem acz drżącym lecz spokojnym, przygłuszonym cokolwiek, jakby z pod ziemi wychodzącym:

— Dobrześ odgadła żmijo co miałem z tobą zrobić ale Bóg łaskaw nie zapomniał o mnie, i upamiętałem się. Gdyby nie to, tym kijem ogłuszyłbym cię jak bydlę a potem temi rękami udusił jak kota. Wyjdź z ukrycia, świadczę się Bogiem że ci włos z głowy nie spadnie, tylko musisz wysłuchać co ci powiem. Dziewczyny nabrały odwagi, Józia wysunęła się naprzód i przybierając minkę figlarnej choć przymuszonej zalotności, rzekła:

— Ej! mój Franusiu, nie lubię kiedyś taki złośnik.

— Cicho żmijo! wrzasnął Franek tupiąc nogą. Na raz jeden tylko sztuka, drugi raz już mnie nie złapiesz. Kiedym cię poznał, tym samym uśmiechem wabiłaś mnie a i zwabiłaś, że aż ci powiedziałem że się chcę z tobą ożenić...

— Ja cię nie przymuszam przecie...

— Cicho! przerwał Franek z nową gwałtownością. Mogę zapomnieć o upamiętaniu, a wtedy z ręki mojej nicby cię nie wyrwało.

Marynia trąciła Józię, Franek odetchnął, otarł czoło i mówił dalej:

— Kiedyś mnie zwabiła, wiedziałem że masz narzeczonego który cię porzucił. Nic na to nie zważałem, między ludźmi różnie bywa, gadano na ciebie co tylko chciano, wyśmiewano, odradzano, nic to jednak nie pomogło, i powiedziałem sobie, wezmę ją bo mi serce tak każe. Zdało mi się kiedym to sobie obmyślił i rozgadałem się z tobą, że wyrosłem nad drugich, że chodzę jakby mnie cosić podnosiło, że widzę to i słyszę czego oni nie widzą i nie słyszą. Zdało mi się, że dosięgnę ot tam w górze gwiazd i nawlokę je na tęczę aby ci na szyi świeciły. Tak, to mi się wszystko zdało, byłaś syreną coś chciała mnie oczarować, a i oczarowałaś... (*).

Franek zwiesił smutnie głowę i zamilkł a Józia szepnęła do Maryni:

— Moja kochana, czy on czasem nie zwaryowa, bo wyraźnie plecie od rzeczy.

— A może, potwierdziła Marynia, oczy ledwo mu nie wyskoczą a twarz jakby gorzała. Pójdę zawołam kogo.

— Och! sama nie zostanę, pójdę z tobą.

I dziewczęta zrobiły poruszenie jakby do wyjścia. Franek ocknął się:

(*) Berek przez Sprawozdawców uznany został za filantropa, gdy rzeczywiście jest tylko człowiekiem zręcznym, dobrze pojmującym własny interes. Gdybym go był przedstawił wyzyskującym Franka i obkładającym wielkim procentem, postać ta zyskałaby zapewne pochwałę panów krytyków. Nie byłoby jednak w tem nic nowego, a ja właśnie w całej swej pracy staram się wydobywać rysy nieznane, uchodzące uwagi publicznej. Lichwa aż do znudzenia zobrazowaną została w naszej literaturze, jakby wyłącznie przez Izraelitów praktykowana. Berek nie da sobie krzywdy zrobić, nie chce udzielić pożyczki na przedsięwzięcie niepewne, ale umie obliczać się ze wszystkiemi okolicznościami i wie to dobrze, że pożyczka bezprocentowa dla nadwiślaków, więcej mu przyniesie korzyści, jak procent choćby najwyższy z góry naznaczony. Nie jest więc wcale filantropem, tylko człowiekiem rozumnie się obliczającym. W późniejszym przebiegu całego opowiadania, lepiej jeszcze pod tym względem poznany zostanie. Zresztą nie jest to postać powstała jedynie z wyobraźni autorskiej. Ciekawych mógłbym z nią bliżej zapoznać. *J. K. G.*

(*) Wyrażenie o tęczy i gwiazdach, Sprawozdawcom ogólnie się niespodobało, a Kuryer Codzienny wręcz oświadczył, że słysząc jak parobczakom wyrywają się frazesy bohaterów Szekspirowskich i Szyllerowskich, dziwimy się zkąd nagle we wszystkich tych głowach prostaczych wziął się taki urodzaj na piękne książkowe frazesy.

Gdyby Sprawozdawca zajrzał był chociaż do książeczki ze zbiorem krakowiaków dokonanym przez Z. Glogera i wydanych w r. b., byłby zrozumiał, że lud który umie układać tak piękne poetyczne piosenki, umie także równie poetycznie przemówić, gdy nadmiar szczęścia przepełni jego duszę, lub boleść serce cierpieniem przytłacza. I my w podobnych razach w wyrażeniach podnosimy się nad zwykły tok codziennej rozmowy. Jeżeli zatem potężne słowa bohaterów Szekspira, nie rażą nieprawdopodobieństwem, choć są rzeczywiście nieprawdopodobnemi, bo w kunsztowności ich układu, tylko równie wielcy poeci jak Szekspir dorównać mogą, dlaczegóżby miało być zmyśleniem wyrażenie prostego nadwiślaka, tak zgodne z poezyą ludową w pieśniach mieszczącą się, a wymówione w chwili niezwykłego rozdrażnienia. Jak zaś lud przemawia w tych swoich piosenkach, powtórzę tu słowa Gazety Warszawskiej z r. b. w N. 90 pomieszczone w pobieżnym przeglądzie zbiorku p. Glogera.

Niektóre pomiędzy temi krakowiakami, powiada Sprawozdawca, są prawdziwemi perełkami poezyi, dowcipu, trafności spostrzeżeń i charakterystyki obyczajów... Trudno, mówi dalej, o piękniejszą poezyę samorodną nad tę, kiedy dziewczyna poprzysięga, że prędzej się rozwalą góry ogromne, aniżeli ona o miłym zapomni. W innym krakowiaku chłopiec każe dziewczynie policzyć gwiazdeczki na niebie, bo tyle ścieżek do niej wydeptał; a tymczasem przemówiła woda, przemówiła skała, tylko Marysieńka przemówić nie chce. W innym uczucie wybucha dziwnej woni okrzykiem, że chłopiec wiosenkęby chciał wprowadzić tam gdzie mieszka jego dziewczyna; w innym znowu powiada, że był już po kolana w niebie, lecz kiedy ją zobaczył, poskoczył ku niej. Inny czterowiersz opiewa, jak dziewczyna siedząc nad Dunajem, składa z kamyków Jasieńka nazwisko. W innym dłuższym wierszyku znajdujemy prośbę, ażeby matka nie wydawała córki za las i wodę, bo ona nie ptaszyna i nie rybka, więc trudnoby jej było do matki się dostać, W innym niefortunny małżonek ubolewa nad lasem, kto ten las zielony rozweseli, kiedy on ożeniony? W innym opuszczona wyrzeka, że chłopiec widział ją kiedyś przez dziesiątą ścianę, a teraz nie widzi chociaż przed nim stanie. W innym znowu rozdzieleni przez ludzi ubolewają, że zarosła między niemi droga nie lasem, ale ludzkiemi słowami. Kto w tem wszystkiem zaprzeczy prawdziwej poezyi?... Naturę twórczości ludowej ślicznie określono w krakowiaku N. 145, tak ślicznie, że myśli w nim zawartej nie powstydziłby się ani Kochanowski, który *nie sobie śpiewał a muzom*, ani Goethe, według którego, pieśń wylewająca się z duszy, jest sama w sobie nagrodą. Piosenka ta wiejska powiada:

Nie dlatego śpiewam, coby słychać było,
A ino dlatego, żeby się nie cniło;
Nie dlatego śpiewam, żebyście słyszeli,
A ino dlatego, niech się świat weseli.

Otóż tak się wyraża lud w swoich piosenkach, tak określa ich znaczenie, ten lud prosty w siermiędze, o kudłatej czuprynie i grubej i twardej ręce. A jakież to przecudne melodye do nich poukładał! Są to wszystko małe arcydzieła w piękności których kompozycye najpierwszych mistrzów mogą się zrównać, ale niezmiernie rzadko przewyższyć. Jakiż więc posiada zapas uczucia w najdelikatniejszych odcieniach, kiedy do wylania jego na zewnątrz, musi się posługiwać aż dwiema muzami: poezyą i muzyką? Szopen i Moniuszko, nasza chluba i duma, z czegóż wyrośli na olbrzymów muzycznych, jeżeli nie z pieśni ludowej? Przejęci nią na wskroś, temata brali gotowe, rozwijali je, rozszerzali, upiękniali sztuką, i na ich tle snując dalej pomysły swego natchnienia, dla tego jedynie stali się wielkiemi, że umieli w charakterze ich stale się utrzymać. To im dało uznanie i poblask całego muzycznego świata. My wielbimy ich jako tłomaczy tego co czujemy naszą duszą, co wyrobiła cała społeczność; obcy cenią w niej świeżość i oryginalność motywów i potęgę natchnienia. Jakże więc można lekceważyć twórców tak prześlicznych kompozycyi, przez słowo i nutę wyrażonych i odmawiać im chwil natchnienia wywołanych dramatycznym zbiegiem wypadków, wy-

— Czekajcie, rzekł, niech wypowiem wszystko, to mi ulży bo bez tego mógłbym obłędu dostać. Tak oczarowałaś mnie a w tem oczarowaniu na nic nie zważałem i jakeś mi powiedziała że tego elegancika warszawskiego już nie kochasz, że tylko dla mnie masz serce, że nigdy z tym furfantem nie zobaczysz się, a jak przyjdzie do ciebie, to mu drzwi zamkniesz przed nosem, tak uwierzyłem ci i Bóg moim świadkiem tak byłem szczęśliwy, że tylko ciebie miałem przed oczami i choćby mi dawano za ciebie góry złota i całe królestwa, tobym je odrzucił. Jabym dla ciebie duszę był zatracił... Franek znowu zamilkł, w oczach błysnęły łzy mimowolnie bólem serca wyciśnięte. Józia spostrzegła wzruszenie i spuszczając oczy rzekła z uczuciem:

— Mój Franku, przecie ja cię zawsze kocham; gdybyś zobaczył moje serce...

— Kochasz? z największą wzgardą powtórzył Franek, i potem jakby pasując się z boleścią, zapytał:

— A któż tu był u was, kto przez okno... śmiał się i wabił...

— Żartowałam z niego i...

— Cicho syreno, przerwał z gwałtownością Franek, już mnie czary twoje opuściły i patrzę na ciebie jak na robaka co się go człowiek nawet ręką nie chce dotknąć. Świat zamknął się przede mną, ciasno mi .. zdaje mi się że brakło na nim ludzi, a serce tak ściska że jeżeli Bóg się nie ulituje, to oszaleję.

Franek z westchnieniem przytulił ręce do piersi, szarpnął, jakby je chciał rozedrzeć i wyrwać ból tamujący mu mowę.

— Franusiu, odezwała się Józia strojąc minkę do płaczu. Jesteś rozgniewany żeś go zobaczył..

Franek potrząsł głowę z przeczeniem.

— Jam temu niewinna i zawsze cię kocham, niech Marynia powie czy to nie prawda:

— Tak, tak panie Franciszku, potwierdziła Marynia, po całych dniach tylko o panu Franciszku z sobą rozmawiamy.

— Obie mnie zwodzicie! krzyknął Franek, boście obie syreny!

— Nie panie Franciszku, my poczciwe dziewczyny...

— Ale nie dla mnie, przerwał Franek, a tyś nawet nie pamiętała com z tobą mówił o ożenieniu,

— Bo myślałam że to tak zwyczajnie, z żartu.

— Z żartu? powtórzył Franek z największą grozą. Kiedy mnie o mało serce do ciebie nie wyskoczyło, kiedy nie wiedziałem jak mam wygadać co czuję, kiedy wszystko we mnie się śmiało od wielkiego szczęścia, to ty to wszystko za żart uważałaś? Ach! ty syreno, syreno.

— Tylko proszę nas nie przezywać jakiemiś tam syrenami, odezwały się obie dziewczyny z gniewem, bo jak tak masz do nas gadać, to proszę sobie pójść do syren a nam dać pokój.

Franek wpatrzył się w dziewczyny, wysunął ręce w pięść ściśnięte i odetchnął silnie. Zdawało się że się rzuci na nie i jednem uderzeniem zdruzgocze: dziewczyny przestraszone znowu się przytuliły do siebie i w milczeniu patrzyły na Franka osłupiałym wzrokiem śledząc każde jego poruszenie. Franek wyprostował się, kopnął w stołek na którym stała miska z wodą i wybiegł z pomieszkania.

(d. c. n.)

---

prowadzających ich z codziennego zwyczajnego życia. I my w podobnych razach podnosimy się przez grę mieszczących się w nas uczuć i namiętności do niezwykłego nastroju, jakimże więc sposobem można usuwać lud z pod tego prawa wspólnego wszystkim ludziom? Franka zatem wyrażenie o tęczy i gwiazdach jest zgodne zupełnie z prawdą, wyjętą z ust samego ludu.

Raz, będąc nad Wisłą spotkałem znajomych mi nadwiślaków. Rozmowę z nimi powtórzę w całej realności według dzisiejszego wyrażenia, tak jak ją przeprowadziłem.

— A gdzie Franek? zapytałem. Już tak dawno nic nie wiem co się z nim dzieje.

— Ej! teraz Franek w pana się bawi, odrzeczono mi.

— Jakto, czy hula?

— Ej! nie, ale zadurzył się w szargalance warszawskiej i tylko dla niej ma oczy i gębę.

— A i grosz co zarobi, domówił drugi.

— Czy tak groszem dla niej szasta jak oczami, to tego nie wiem, ale...

— Ale ja wiem, przerwał pierwszy, bo nawet chodził do Berka po pieniądze żeby łódź sfundować...

— Albo to prawda, pewno jej chce sprawić suknię z ogonem, albo kapelusz z piórem. On tak myśli o łodzi jak pies o księżycu...

— Więc mu tak warszawianka zajechała w głowę? zapytałem.

— A ponoć. Ale szkoda go, bo zadurzyć się to ludzka rzecz, ale on tak się zadurzył że mu się w głowie na piękne przewróciło.

— A i cóż takiego robi? zapytałem.

— Gada jak pół waryat. Kiedy mu perswadowałem, że dobrowolnie palec kładzie w szparę u drzwi, to ani słuchać nie chciał a raz nawet zerwał się do mnie do bicia. Odepchnąłem go i rzekłem: czyś oszalał? A on jak się zacznie buchać w piersi i wrzeszczyć: daj pokój Władek, daj pokój, nie zniesławiaj, bo ja bym dla niej wszystko zrobił, choćby wszyscy przeciw niej stanęli.

— Wyraźnie zapamiętał się i jużcić, potwierdził drugi.

— To Franek zapewne niedługo wyprawi nam wesele, odezwałem się.

— Jużcić przyjdzie mu na tem skończyć, bo na zapamiętałość w kochaniu nie ma lekarstwa.

— A toście mi nowinę powiedzieli, rzekłem, nie wiedziałem, że Franek taki kochliwy.

— Czy kochliwy, to kto go tam wie, ale na pewne że u niego nie dobrze w głowie. Baje trzy po trzy, to o syrenach, to o topielicach, że je widuje czasem jak z fali wiślanej głowy pokazują...

— A może ta warszawianka, przerwałem, co go tak opętała, jest prawdziwą syreną?

— A może, bo raz kiedy się rozbajał i my mówili że przyjdzie czas na niego i opamięta się, to on sprzeciwiał się temu do ostatka i powiedział jakby w malignie, że gdyby mógł, toby dla niej gwiazdy zbierał, nawlekł je na tęczę i zawiesił na szyi...

— Toby ją nie lada przystroił, wtrącił jeden z młodych z uśmiechem. Wyglądałaby jak szkapa w hołobli.

— Furmaństwem jednak przy niej nie pogardziłbyś, wtrącił Władek; młodzi uśmiechnęli się, zaczęli żartować, dowcipkować i po dość długiej gawędce rozeszliśmy się, ja z nową zdobyczą w charakterystyce ludu warszawskiego, nadwiślacy zaś z papierosami któremi ich poczęstowałem.

J. K. G.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

do Południowych Stanów Zjednoczonych, w 1875—1876 r.

PRZEZ

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dalszy ciąg).

Przebrnąwszy Straszny potok (Dismal Creek), nawet mostka nie postawiono na nim, pomimo obfitości turystów; stanęliśmy pod pionową ścianą, rysującą się na błękitnej kopule niebios, nakształt ciemnego filaru, mającego 500 stóp wysokości. W chatce, tuż pod ścianą ubrano nas w bluzy, czapki i pantalony stosowne do podziemnej wycieczki. Przecisnąwszy się przez ciasną, krętą i ciemną galeryę, wałęsaliśmy się po szerszych korytarzach i salach przestronnych, których stropy wspierały się na stalaktytowych filarach, jak w kościołach. Zwiedziliśmy wielką rotundę, nazwaną „fabryką saletry“, gdyż przed laty zbierano w niej niemało tego minerału. Nie ominęliśmy „czartowskiej sali“, „gotyckiej kaplicy“ „fotelu olbrzyma, oraz tym podobnych ciekawości, wspólnym prawie wszystkim słynnym pieczarom i zawsze obdarzoną podobnemi imionami, skutkiem podobizny do pewnych dzieł lub urojeń ludzkich. Wreszcie pokazano nam coś nowego. Przewodnik zgasił nasze pochodnie i usunął się od nas. Nagle ogarnęła nas ciemność piekielna, przypomniałem mimowolnie historyę o zabitym Angliku i niedociekłej przepaści, do której zdradziecki przewodnik miał wrzucić jego kości. Bez światła, przewodnika i kłębka Aryandy nie wyjdziemy z tej matni.

— Patrz, patrz! zawołał mój towarzysz.

— A na co? zapytałem. Wszak tu ciemniej niż tabace w rogu.

— W górę!

Gdzie zapewne wydymał się sufit pieczary, nie wiem czy sto stóp czy pięćset po nad głowami, zdało się, że widzę ciemno błękitne sklepienie niebios, w nocy pogodnej, lecz bez księżyca. Na nim błyszczały tysiące gwiazdek, ale w konstelacyach nieznanych mi, choć podzieliłem mój żywot pomiędzy północną i południową półkolę. Zkąd te niebiosa? Czy wyszliśmy już z pieczary? Czy bawiliśmy w niej tak długo, że wszedłszy do niej o świcie opuszczamy ją o północy. Wszak ledwie parę godzin od początku naszej pielgrzymki.

Towarzysz wytłomaczył mi, że stoimy w pieczarze zwanej Izbą gwiazd (*Star Chamber*), przestronnej, wysokiej, ze sklepieniem nacentkowanem tysiącami igieł stalaktytowych. One to odbijały światło pochodni ukrytego przewodnika, niewidome dla nas. Piękność tego zjawiska, przechodzi mój dar opisu.

W sali tuż obok, zniża się gładki i biały sufit do tego stopnia, że mogliśmy ręką doń sięgnąć i zapisać nasze nazwiska, obok tysiąca innych. Ztąd nazywają ją „albumem.“

Chodniki tej pieczary, czasem szerokie i przestronne nakształt sal balowych, czasem zwężające się w szczeliny, przez które otyły człowiek nie mógłby się przecisnąć. Jedno z nich nazwane „łapką na otyłych“ ma 70 kroków długości, 2 stopy szerokości i ściany najeżone ostremi stalaktytami, do tego stopnia, że przejście tamtędy jest męczarnią; chodniki te wiją się w nieopisanem zagmatwaniu. I tak, w jednym z nich widzimy szczelinę, w którą spuszczamy lampę, na sznurku mającym 50 stóp długości. Po półgodzinnej podróży wchodzimy do ogromnej sali, mającej 140 stóp wysokości. Lampa zostawiona (jak sądziliśmy) o pół mili geograficznej po za nami, wisi w powietrzu, wysoko, nakształt dalekiej i samotnej gwiazdy, siejąc promyki w morzu ciemności. Więc galerya owa ze szczeliną, do której spuściliśmy światło, znajduje się wprost po nad salą.

Co tu niedoperzy! Jakie przeciągi! a co dziwniej, wiatr ten wieje pół roku w jednym kierunku, drugie pół zaś w przeciwnym, i to z regularnością przeciągowych wiatrów w krajach tropikalnych. Niektóre sale dzielą na poły przegrody kamienne, cienkie, misterne, nakształt koronek kamiennych w strasburgskim tumie.

Gdyśmy przyszli do mostku z żelazną poręczą i nadgniłą podłogą, zawiadomił nas przewodnik, że przed laty uważano otchłań pod tym mostkiem za kres wycieczek w pieczarze. Nazywano ją „Otchłanią bezdenną", a szerokości jej nieznano. Później zrobiono na niej kładkę, przesuwając drabinę w taki sposób, że jej końce spoczywały na obydwu brzegach. Wreszcie przerzucono most, mający 50 stóp długości. Głębokość otchłani wynosi stóp 170, a na dnie płynie strumień, nazwany Styksem. Właściciele groty utrzymują mostek i poręcze wzdłuż otchłani w niezłym stanie, żeby nie narażać turystów na niebezpieczeństwa. Dawniej zdarzały się częste wypadki, z powodu ciemności i spadzistości tych miejsc. Nawet zdarzają się one w naszych czasach, gdyż najlepsze drzewo gnije prędko w tej stęchłej jaskini, gdzie wciąż nań kapie woda, przenikająca ściany.

Po marszu, który wedle przewodnika wynosił 18 mil ang. jednakże nie widzieliśmy i dziesiątej części jaskini, dochodzimy do ślizgiego brzegu rzeczułki Echo, na której znajdujemy kilka łodzi. Przewodnik każe nam wsiąść do jednej z nich, bierze wiosło i pędzi z nami po czarnej, leniwej, głębokiej wodzie jakoby ku wnętrznościom ziemi. Chyba Wirgiliusz albo Dante umieliby opisać grozę tej podziemnej żeglugi.

Sklepienie zniżało się... często wypadało leżeć na dnie łodzi, aby uchronić głowy od guzów. Nikt nie odszukał jeszcze źródlisk tego amerykańskiego Styksu, skrapiającego zaklętą dziedzinę Mamutowej pieczary. Łowią w nim mnóstwo ryb, bez oczu, jak wszystkie żyjące istoty w podobnych miejscach. Biedne rybki, czyż warto żyć bez światła?

Sklepienie podnosi się... światło dzienne pokazuje się po daleką perspektywą ciemności, nakształt gwiazdki... zmrok zaczyna rozwidniać się... nasze pochodnie bledną.., gasimy je wreszcie... wypływamy na orzeźwiające powietrze i dzień Boży. Tu wpada Styks do Zielonej rzeki, płynącej przez tę okolicę. Dzięki temu ujściu odkryto pieczarę opuszczoną przez nas. Kilku myśliwych polowało na Zielonej rzece. Uległszy ciekawości, skierowali swoją łódź wzdłuż Styksu, wpłynęli pod ziemię, i dostali się do rzeczki Echo. Jeden z nich wahał się kilkakrotnie i chciał powracać, ale towarzysz przykładał mu lufę do skroni i zmuszał do dalszej podróży. Śmiali ci żeglarze objęli w posiadanie, po powrocie z pieczary, grunt leżący tuż przed nią, i otrzymali patent własności do całej groty, tytułem odkrywców. Potomkowie ich, w liczbie dziewięciu, odbierają po 1,000 dolarów na osobę rocznego dochodu ze swojej posiadłości, gdyż każdy turysta płaci pół dolara wstępu. Przeszło 18,000 osób odwiedza więc grotę rocznie, gdyby zaś urządzono do niej dobry gościniec i zbudowano wygodniejszy hotel obok niej, liczba ta doszłaby do stu tysięcy. Pewna kompania spekulantów Louisville ofiarowała pół miliona dolarów za tę pieczarę, celem zmienienia jej w ognisko modnych pielgrzymek. Właściciele żądali milion, z prawdziwem południowem naśladowaniem psów taktyki leżących na sianie, którego sami nie mogą spożywać, odmawiają innym. Właściciel hotelu należy do grona tej rodziny. Przez cały wieczór po naszym powrocie z groty bawił nas nie zachwaleniem jej cudów, lecz rozprawą o politycznych, drobiazgowych sporach swejego powiatu i prowincyi. Mianowicie tłomaczył nam dumnie, w jaki sposób tak zwani „regulatorowie" ćwiczą murzynów, albo wyrodnych białych, coby się odważyli okazać przychylność dla północnych ludzi. Ci „regulatorowie" spełniają tu zadanie, poruczone Ku-Kluksom w innych prowincyach. Tworzą oni tajne bractwo, sądzące zaocznie i karzące zdradziecko osoby, co wyrażają opinie polityczne, niezgodne z wolą większości białych mieszkańców. Nasz gospodarz zajmował podobno wysokie stanowisko pomiędzy regulatorami", za to hotel stał nizko, a pieczara nie przynosiła $^1/_{10}$ dochodu, któryby powinna przynosić.

Nazajutrz rozstałem się z p. Brackett. On powrócił do Lexingtonu leżącego o 30 mil geo. od Cave City, ja zaś ruszyłem do Nashwille, stolicy stanu Tennesee.

II.

Tennesee, Georgia i Alabama.

Znikł pociąg, wiozący na północ mojego gościnnego plantatora, łączącego w sobie ogładę, naukę, poczucie honoru najwybredniejszego arystokraty Europy. W nim poznałem jeden z najszlachetniejszych typów owej wyższej klasy południowców, co przed wojną domową władała przecudnym swoim krajem, a teraz opiera się jak umie, przeciw arrogancyi murzynów i przywłoków z Europy i północnych stanów. Nakształt rycerzy średniowiecznych spuścili przyłbice i stanęli do walki z lokomotywą postępu i potopem emigracyi. Sami przeczuwają że padną, ale walczą, jak don Kiszot walczył z wiatrakami. Jednakże nie godzi się śmiać z ich oporu, gdyż przynajmniej walczą mężnie.

Niebawem i ja wyjechałem z Cave City. W zimowej porze nie mogłem zwiedzić gór Allegańskich, raju turystów po wschodniej Ameryce. Najpiękniejsze i najpopularniejsze odpryski tego łańcucha znajdują się w Wirginii i w Tennesee, ale ich doliny złotodajne, gaje i szczyty tylko w lecie można odwiedzać.

Jechałem przez kraj, którego każda mila kwadratowa była świadkiem krwawych bojów przed dwunastu latami. Najbliższy mój sąsiad komiwojażer z niezliczonemi torbami próbek, dla których nie mógł znaleźć dość miejsca w wagonie, służył w owej kampanii. Miałem więc doskonałego cicerona, zwłaszcza że on, nakształt wszystkich komiwojażerów, nie mógł żyć bez paplania. Gdyby nie obfitość tego rodzaju podróżników na świecie, nie ruszyłbym nigdy na krok z domu, albowiem nie umiem wozić się z Bedekerami Murray'ami. Nienawidzę książek tego rodzaju. Są to gorsze impedymenta od parasoli i rękawiczek w podróży. Gubię je umyślnie i otrzymuję objaśnienia od komiwojażerów.

Sąsiad mój wywiązywał się z zadania przewodnika na pobojowiskach Tennesee z gorliwością wiarusa, co rad znajduje słuchacza, i przesuwa przed nim sceny świetnej kampanii. Co pół godziny trąca mnie w łokieć. „Patrz wołał, wychylając rękę przez okno otwarte, tuśmy biwakowali... tam (tu westchnął) brat mój poległ... a na tych polach (dodał tryumfalnym głosem) manewrowaliśmy dwa dni pod Thomasem, przed tą bitwą, co zniszczyła południowców pod Hood'em i rozstrzygnęła los Tennesee."

Nie dziw, że obok takiego kolegi nie nudziłem się w przejeździe z Kentucky do Nashville. Nigdy przedtem nie zrozumiałem dokładniej wielkości i zaciętości tej wojny olbrzymiej, którą świat Nowy, dziś bez wojska i tak spokojny, zaćmił nawat napoleońskie kampanie.

Wielki most zatętniał pod lokomotywą, przejechaliśmy nad rzeką Cumberland, spławną przez trzy kwartały w roku, i wysiedliśmy w Nashville słynącem w Ameryce z kobiet uroczych (w tym względzie rywalizuje z Louisville i Baltimorą) i z cholery. Ta grasuje tu częściej i szkodliwiej, niż gdziekolwiek w Stanach Zjednoczonych. Przypisują ją używaniu wody z cystern. Majętniejsi mieszkańcy wynoszą się z miasta od wiosny do późnej jesieni, przenosząc okoliczne mieściny nad stolicę bez dobrego systemu wodociągów, i z jadowitemi studniami.

Mając listy rekomendacyjne do kilku lepszych domów w tem 40,000 mieście, znalazłem w niem przyjęcia ciepłe, gościnność południową, posuniętą do przesady, towarzystwo ogładzone, i mniej przesądu, niż zwykle spotyka obcych na Południu, przynajmniej nie okazywano mi zbyt często, że gardzą północnymi ludźmi. Oczywiście, że mnie zanudzono prawie oprowadzaniem po ciekawościach miejskich, które nie zastanowiłyby żadnego bywalca. Kapitol wygląda jak grecka świątynia. Wznosi się nad szerokim tarasem, zkąd się przedstawia piękny widok na miasto, okolicę i wartką, czystą rzekę, pokrytą galarami.

W okolicy miasta odszukałem dom Jędrzeja Jackson'a, pogromcy Anglików w r. 1812 pod Nowym Orleanem i jednego z najsłynniejszych byłych prezydentów. Była to postać wyjątkowa, kolosalna, która wyryła na wieki swoje imię w dziejach Ameryki. Wedle mnie wszystkie jego zasługi nie okupią jednego błędu; on to zaprowadził w Ameryce ten system demoralizujący naród cały, na mocy którego wszyscy urzędnicy zmieniają się ze zmianą fakcyi u steru rządu, a cała wewnętrzna polityka przekształciła się w polowanie na posady, chociażby za pomocą fałszowania opinii publicznej. W wielu okolicach Ameryki, mianowicie w rodzinnym stanie zmarłego prezydenta, wymawiają dotąd jego imię ze czcią bałwochwalczą prawie. Chociaż bożek ten spoczął pod skromnym obeliskiem, wewnątrz bizantyńskiej pagody blizko Nashville, zanim nasze pokolenie ujrzało światło dzienne, niejeden góral w Tennesee wrzuca imię „jenerała Jackson'a" do urny wyborczej, ile razy głosują na prezydenta, jakoby wierzyć nie chciał że ten mąż znakomity mógł umrzeć. Domek wielkiego prezydenta stoi śród rozkosznego parku, a wewnątrz zachwyca skromną, wygodną prostotą. Jakżeż prostaczy i prawdziwie demokratycznym musiał być lud, co otworzył tę wielką, dziś do przesady sybarycką rzeczpospolitę, jeżeli jego prezydenci umieli się zadawalniać takiemi domkami i sprzętami, sadząc się tylko na pyszny ogród, w dowód miłości dla najmilszych dzieci przyrody, roślin.

Pokazano mi dwa uniwersytety w Nashville. Nie wspominałbym o nich, gdyż tuzinkowe, stanowe wszechnice, nie uczące więcej nad gimnazya europejskie, nie zasługują na szczególną uwagę w Stanach Zjednoczonych. Jest ich tam aż nadto, dla tego też oprócz Yale, Harvard i kilku innych, nie wiele spotykamy dobrych. Lecz jeden z wyższych zakładów naukowych w Nasville służy wyłącznie dla murzynów, a dzieci Chama cisną się do niego z zapałem. Większa część czarnych garsonów w hotelach miejskich uczęszcza na uniwersytet, pracując za wikt i stancyę przez część dnia, byleby mieć kilka godzin wolnych na wykłady. Inni pracują w fabrykach, ogrodach, na ulicach nawet i przy ładowaniu parowców, byle się uczyć! Zaiste, szlachetna to ambicya i praca. Przyznam, że mnóstwo przykładów tego rodzaju spotkałem i na północy. W malowniczych Białych górach (w stanie New-Hampshire), u podnóża szczytu Waszyngtona (w tej części Ameryki co tak przypomina szwajcarskie Rigi widokami, koleją ukośną na bardzo wysoką górę i hotelami), usługiwali mi studenci i studentki z pierwszorzędnego uniwersytetu, zarabiający podczas letnich wakacyi na utrzymanie zimowe przy *alma mater*. Ludzie tego rodzaju dochodzą często do znaczenia, mienia i sławy. Ale są to ludzie naszej cery, ze szczepu, co od lat tysięcy umiłował

wiedzę i poświęcał się dla niej. Lecz ci czarni, kudłaci murzyni.., dzieci niewolników, zrodzone w niewoli! Więc i na nich spłynął już duch Boży. Więc i nad malowniczem, zdziczałem Tennesee wionął geniusz postępu!

Przed wyjazdem z Nashville stanąłem na pięć minut przed furtą murzyńskiego uniwersytetu. Któż w Europie widział kiedykolwiek podobnych studentów? czarnych, czekoladowych, śniadych... wielu z nich już w połowie męzkiego wieku... większa część w ubiorze roboczego ludu. Jak opuścili warsztaty, groblę nadrzeczną, karczmy, tak cisnęli się do świątyni nauki. Prawie wszystkich dłonie nosiły ślady ciężkich mozołów.

Patrząc na nich zaciekłem się wyobraźnią do rdzeni ich nadziei i dążeń. Jeżeli komu, to tej rasie, świeżo przypuszczonej do uczty cywilizacyjnej, potrząsa nadzieja złote malowidła. Jasna aureola obleka w ich oczach gmach skromny, w którego wnętrzu poją się ambrozyą zatronioną przodkom, niebiańską strawą muz! Tam ucztują pośród kolumn pyłu, ulatującego z ksiąg wertowanych cierpliwie, oświetlonego ukośnemi promieniami porannego słońca, nabierającego w ich oczach złotej i purpurowej barwy... bo z tej pracy i zapylenia spodziewają się złotej nagrody i purpury sławy w walce życia. Pyły te lśnią dla nich bogactwami, sieją dla nich zapachem powodzenia w świecie. Nie gańmy nawet tych pomiędzy nimi, co się uczą li ze względu, iż nauka zabezpieczy byt materyalny, da pieniądze. Bez pieniędzy nie ma swobody od poziomych kłopotów codziennych: bez pieniędzy nie ma siły do myśli o rzeczach umysłowych, nie ma owego *otium* niezbędnego ludziom pracującym dla ludzkości! Któreż nędzne społeczeństwo mogło służyć gracyom i muzom? Więc i ta czarna, upośledzona rasa uczy się teraz, aby znaleźć klucz do mienia i wolności od trosk upadlających, aby zabezpieczyć dobrobyt dla swojego potomstwa... ono będzie się już uczyło z wyższych pobudek.

Dzieci Afryki, wyzwoleńcy wielu humanitarnych dążeń, co z wszystkiemi swojemi błędami pierwszy niezadowolnił się czczemi wyznaniami wiary, ale wprowadza w praktykę religię miłości i równości! daj Boże, aby najświetniejsze wasze nadzieje nie wyrównały rzeczywistości, którą przyszłość przyniesie wam w darze!..

Miasto Nashville nakształt Cincinnati, zajmuje przestrzeń, na której stał gród przedhistorycznych mieszkańców północnej Ameryki. Wybrzeża rzeki Cumberland, oraz jej przypływów, zdradzają obfitością zabytków po tym ludzie, że w niepamiętnych czasach karmiły naród liczny i niezupełnie dziki. Wybrzeża te składają się ze skał wapiennych, obfitując w pieczary i długie, szerokie tafle, dające płyty do nakrywania i wykładania grobów. Obfitość saletry w pieczarach chroniła ciała od zgnilizny, zmieniając je w rodzaj mumii. Obecni mieszkańcy Południa nazywają te groby i szczątki miast „zabytkami Pigmejczyków,“ chociaż lud przedhistoryczny nietylko nie był karłowatym, lecz sądząc z rozmiarów zwłok, przewyższał nas postawą. W żadnym grobie nie znaleziono zwłok dorosłych ludzi krótszych od ciał europejskich; niektóre miały zaś 7 stóp długości więc należały do olbrzymów.

Wedle skazówek sędziego Cox'a, odwiedziłem doskonale przechowane szańce i groby nad rzeką Wielką Narpeth (przypływem Cumberland'u). Wał w kształcie półksiężyca; mający 2,500 stóp obwodu, otacza tu przestrzeń, obejmującą mniej więcej 8 morgów. Założyciele tego miasta umieli ocenić strategiczną wartość przylądka pomiędzy dwoma rzekami, albowiem gród opisany leży tuż u ujścia strumienia Dolerson do rzeki, a nawet dziś, po usypaniu kilku redut, kąt ten tworzyłby bardzo obronną pozycyę. W środku fortecy wznosiły się niegdyś domóstwa, stoki spadające ku rzece i strumieniowi, wydrążone naturalnemi i sztucznemi pieczarami, zawierają mnóstwo grobów, które wolno nazwać kopalnią relikwii po tajemniczym, wygasłym narodzie. Niestety, nietylko ludzie nauki naruszają te groby ale i świętokradzkie dłonie ciekawskich niszczą to, co powinnoby być świętem nawet dla dzikiego człowieka... i w jakim celu? Oto, aby z rozwalonej mogiły unieść kości, lub naczynie gliniane albo broń, może też płaty skóry i tkaniny z łyka, przeplatane pierzem w sposób taki, że do dziś lśnią nakształt jedwabnej materyi. W te skóry i tkaniny obwijano zwłoki przedhistorycznych nieboszczyków. Często też wkładano je w kosze plecione kunsztownie z sitowia.

Gdy gminne zwłoki składano w pieczarach nadbrzeżnych, zmarłych wodzów chowano staranniej w mogiłach. Widziałem dwie takie mogiły w fortecy nad Harpeth'em. W jednej z nich znaleziono przed laty kościotrup mierzący 7 stóp długości, z czaszką nie o wiele gorzej rozwiniętą od doskonałej kaukazkiej, lecz spłaszczoną i zbyt szeroką w porównaniu z długością, jak to się zdarza u tegoczesnych Indyanów, noszących niemowlęta w koszykach tak urządzonych, że ścieśniają z obu stron młodą główkę, nadając jej kształt płaski. Wszystkie naczynia wykopywane w takich miejscach składają się z czerwonej dobrze wypalonej, niepolewanej gliny. (*) Niektóre z nich zawierają rodzaj czerwonej barwy, którą zapewnie używano do malowania twarzy. Niektóre kości zdradzają cechy tej okropnej choroby, którą odkrywcy Nowego świata przywieźli do Europy.

Trudno rozpisywać się o tych cmentarzach, szańcach i zabytkach w dzienniku przelotnej podróży, zwłaszcza, iż tyle poważnych dzieł napisano o nich. Jednakże niechętnie odrywam pamięć od nich. Ileż-to dumań, ile zagadek zbudził w moim umyśle widok prac i zabytków, co świadczą wyraźnie, że wielki kontynent amerykański roił się i przed nami ludem osiadłym i pracowitym... Wszak żyli wielcy ludzie i przed Agamemnonem, powiada poeta.

Z Nashville do Atlanty, głównego węzła kolejowego w stanie Georgii, a może wszystkich południowych stanach, jechałem przez okolicę obfitą w pamiątki wielkiej wojny amerykańskiej. Każda mieścina była świadkiem walk w polu dokoła, znosiła szturmy i pożogi, patrzyła na dzieci jednej ziemi i mowy, różniących się tylko barwą granatowych i szaraczkowych mundurów, a walczących zacięciej od ludzi różnych plemion. Wojny domowe przypominają swary rodzinne, zwaśnieni bracia spierają się zaciekle, niż obcy, znając zaś swoje słabe strony umieją godzić w najboleśniejsze punkta.

Okolica którą przejeżdżałem dotąd nie otrząsła się z klątwy i zniszczenia owej wojny bratobójczej. Szkielety świetnych niegdyś dworów szczerzyły ku mnie, okna bez szyb i bramy bez podwójów, a tylko nędzne, nizkie chaty czarnych rolników tętniały życiem. Roje dziatwy i stadka nierogacizny tarzały się na stosach gnoju przed domami. Widok tych nędznych ludzi i siedzib przypominał ubóstwo i niechlujstwo, spotykane w niektórych częściach wschodniej Europy.

Samą Atlantę wsławił fakt historyczny, że z tego miasta rozpoczął jenerał Sherman marsz swój, na skroś całej konfederacyi powstańczej, przecinając ją na poły i zadając jej rzeczywiście cios śmiertelny, gdyż pozbawił ją sił bronienia Richmond'u przed armią Granta. Dzięki swojemu położeniu geograficznemu, odżyła ona ze skutków pobytu armii Shermana, która jak wiadomo spaliła to miasto. Dziś wolno ją nazwać ogniskiem południowego handlu, a handel ten wzmaga się z dniem każdym. Więcej dróg żelaznych krzyżuje się w niej, niż w niejednej olbrzymiej europejskiej stolicy; każda ulica tętni ruchem i życiem, o każdej porze dnia można wsiąść na pociąg do Georgii, Karoliny, Wirginii, Luizyany... nie wyliczam więcej stanów z powabnemi nazwiskami, aby się nie narazić na posądzenie, że mam inne rzeczy na myśli, niż południowe prowincye. Pewien mój amerykański przyjaciel, komiwojażer twierdził, że gdy napisał do żony w New-Yorku, iż zabawi dłużej w Atlancie, jako w punkcie środkowym, zkąd w jednym dniu może się dostać czy do Karoliny, czy do Wirginii, czy gdziekolwiek mu się spodoba pojechać, małżonka zjechała śpiesznym pociągiem do Atlanty, i wpadła nań łkając i łając, że kto ma w domu własną Karolinę, nie potrzebuje dojeżdżać do Karoliny za Atlantą.

Interesa moje nie leżały w kierunku wyzyskiwanym przez owego komiwojażera. Nie przybyłem do Atlanty aby sprzedawać towary, lecz żeby zbierać wiadomości o stosunkach ciekawego kraju. Lecz i dla mnie była ona punktem najdogodniejszym ku spełnieniu swojego zadania, gdyż mogłem jeździć tanio w różne strony, lub studyować stosunki społeczne na miejscu. Ztąd też odbyłem kilka wycieczek do Alabamy, kraju który może nad wszystkie inne (oprócz południowej Karoliny) sprzyja wylęganiu się murzyńskiego plemienia, oraz przedstawia obraz nieładu, niegospodarności, bezowocnej cywilizacyi ras i gwałtownego panowania mniej licznej, lecz inteligentniejszej, nad liczniejszą i głupszą. Wspomnę o dwóch tego rodzaju wycieczkach. Pierwszą zacząłem pieszo od miasta Montgomery, do którego przybyłem koleją w pierwszych dniach lutego.

(*d. c. n.*)

(*) Niektóre z nich naśladują kształty ludzkich głów i postawy. Obok nich znajdują się czasem i miedziane naczynia. W muzeum w Washingtonie widziałem kubki, których kształt świadczy o smaku kunsztmistrza co je wykuł.



Korespondencya ze Lwowa.

(Dokończenie).

Drugi obraz tego artysty „Władysław Łokietek otoczony włościanami“, ani rozmiarami, ani kompozycyą nie może się równać z poprzednim, ale posiada tyle zalet ujmujących zaraz na wstępie każdego widza, że zdania mogą być podzielone co do artystycznej wyższości jednego utworu nad drugim. P. Gerson ofiarował ten obraz pięknej fundacyi imienia Karola Szajnochy, a komitet zarządzający fundacyą, chcąc najlepiej spieniężyć wspaniały dar ogłosił loteryę z losami po ½ złr. Gierymskiego przypomniały nam bardzo piękne obrazy „Austerya rzymska“ i „Gra w morę.“ Wilhelm Leopolski wystawił „Zgon Klonowicza“ w nowym pomyśle. Toczy się spór, czy drugi sposób jest lepszy od pierwszego, ale o to nie ma sporu, że oba obrazy są dowodem niepospolitego talentu. Do pierwszych ozdób tegorocznej wystawy należą: Bronisława Abramowicza „Uczta Wierzynka,“ Kazimierza Alchimowicza „Lizdejko z córką na ruinach świątyni Perkuna,“ Walerego Eliasza „Żółkiewski pod Cecorą,“ Andrzeja Grabowskiego portrety, A. Gryglewskiego „wybor-

ne wnętrza kościołów," Aleksandra Kotsisa „Żydzi w bóżnicy" i kilka małych a wdzięcznych obrazków, Leona Picarda „Zborowski przed sądem Zamoyskiego." Obawiam się, czy wyliczyłem wszystkie obrazy zasługujące na to, ażeby podniesione zostały w każdej nawet najkrótszej wzmiance o wystawie. Wystawa wypełniała się powoli, nowe dzieła sztuki przybywały nawet przy samym końcu sezonu, więc pisząc przed zamknięciem wystawy, łatwo można narazić się na niedokładność. Dział rzeźb był tak samo jak dział obrazów liczniejszy niż na zeszłorocznej wystawie. Tadeusz Borącz ze Lwowa, Teodor Rygier z Rzymu i Kazimierz Ostrowski głównie ten dział zasilili.

Doroczne posiedzenie uroczyste w zakładzie Ossolińskich odbyło się jak instrukcya przepisuje 12 października. W ubiegłym roku nie było posiedzenia, bo w wigilię umarł nagle dyrektor zakładu August Bielowski. Posiedzenie tegoroczne stanowiło niejako uczczenie pamięci zmarłego dyrektora. Z zadania tego wywiązał się znakomicie następca ś. p. Bielowskiego, obecny dyrektor dr. Wojciech Kętrzyński, najkompetentniejszy z zawodu i ze stanowiska do napisania pierwszej wyczerpującej monobiografii o ś. p. Bielowskim.

Z odczytanego sprawozdania o czynnościach zarządu i stanie zbiorów zakładu powziąść można wiele ciekawych i pocieszających szczegółów. Dzięki sympatyi, jaką poważny zakład Ossolińskich posiada nietylko w kraju lecz i za granicą, dzięki ożywionym stosunkom z zagranicznemi instytucyami naukowemi, zbiory zakładu w każdym roku wzrastają znacznie i wzbogacają się nietylko licznemi lecz do tego i wielu cennemi dziełami. W ubiegłym np. roku otrzymał zakład od akademii umiejętności w Peszcie, dar obejmujący 65 tomów. W obec skromnych funduszów, jakie zakład Ossolińskich poświęcić może corocznie na wzbogacenie swoich zbiorów, pamięć życzliwa kraju i zagranicznych instytucyi naukowych jest dla niego bardzo cenną. Sprawozdanie tak przedstawia wzrost zbiorów zakładowych: Manuskryptów przybyło 359 a razem liczba ich wynosi teraz 2366. Dzieł drukowanych unikatów przybyło 973, a jest obecnie razem 71,410. Dubletów przybyło 629, a jest ich w ogóle 4582. Liczba dyplomatów z nowo nabytemi w ciągu roku (114) wynosi 879. Autografów przybyło 23, rycin 61, rzeczy muzealnych 30, minerałów 135. Biblioteka otwarta była dla publiczności w ciągu 12 miesięcy, 220 dni, a w przeciągu tego czasu wydano w pracowni naukowej 2340 czytelnikom 648 rękopismów, 3124 dzieł w 6776 tomach. W czytelni głównie dla młodzieży przeznaczonej, czytało w ciągu 10 miesięcy 6761 osób, t. j. o 866 więcej niż w roku ubiegłym. Po za obręb gmachu zakładowego wypożyczono 2749 dzieł w 49,392 tomach czyli 772 dzieł w 1255 tomach więcej niż w poprzednim roku. W ten ostatni sposób korzystały ze zbioru zakładu Ossolińskich nietylko zamiejscowe zakłady naukowe, lecz także uczeni i literaci. W sprawozdaniu zapowiada dyrekcya, że przystąpi teraz energicznie do ułożenia realnego katalogu rękopisów, które dotąd opisywano w formie niesystematycznych notatek. Wyszukanie potrzebnego materyału było dotąd w braku realnego katalogu bardzo utrudnione, więc uczeni nasi i w ogóle wszyscy korzystający ze zbiorów zakładu będą dyrekcyi wdzięczni za tę pożądaną i oddawna oczekiwaną reformę.

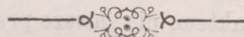
W teatrze lwowskim nie najlepiej się teraz dzieje. W sierpniu odgrażała się dyrekcya a nawet głosiła to w swoim organie jako rzecz postanowioną, że opera zostanie zwiniętą. Dotąd jednak opera istnieje. Przyczyną tej zmiany miałoby być niezupełnie pomyślne załatwienie petycyi dyrektora teatru o podwyższenie subwencyi. Sejm zaokrąglił subwencyę do pokaźnej sumy 20,000 złr., ale po za tę granicę ani kroku zrobić nie chciał, a dyrektor teatru żądał jeszcze o kilka tysięcy więcej, zaręczając, że już dotąd wiele stracił na przedsiębierstwie. Ponieważ pogłoska o zwinięciu opery powstała w czasie rozpraw nad petycyą o subwencyi więc nasuwa się podejrzenie, że celem jej było przeforsowanie wyższej subwencyi w sejmie, gdzie opera posiada wielu miłośników. Sejmowi pewnie nikt nie zrobi zarzutu z tego powodu, że tylko częściowo uczynił zadość prośbie dyrekcyi o podwyższenie subwencyi, bo fundusz krajowy płaci już teraz może za dużo w stosunku do małych kwot wydawanych na ważniejsze cele. Straty dyrekcyi są wcale problematyczne, bo skargi w tej mierze odzywają się w chwili, gdy p. Jan Dobrzański objął przedsiębierstwo teatralne, a przecież cały Lwów wie to dobrze, że p. Dobrzański wcale nie posiada takiego majątku, ażeby cztery lata dokładał po kilka tysięcy do przedsiębierstwa. Zresztą subwencyę sejmową uzupełniła teatrowi w tym roku wystawa krajowa. Podczas całego sezonu wystawowego teatr był zawsze przepełniony, a bilety rozprzedawano nieraz do południa tak, że kto wieczorem udawał się do kasy wracał do domu z próżnemi rękami. Kilkanaście takich przedstawień więcej znaczy aniżeli różnice między kwotą żądaną a otrzymaną od sejmu tytułem subwencyi. Jeszcze jedną korzyść odnosi dyrekcya teatru z niezupełnie pomyślnego załatwienia sprawy subwencyjnej. W obec jej narzekań i groźby zamknięcia opery, publiczność staje się mniej wymagającą i chętnie przebacza niejedno, coby zasługiwało na ostre skarcenie. W tej chwili np. dyrekcya teatru posiada wcale niedostateczny personal artystyczny, bo pozbyła się takich sił pierwszorzędnych jak państwo Woleńscy, a luki dotąd nie wypełniła. Państwo Woleńscy posiadali wielką sympatyą u publiczności, która nie widząc ich dziś w personalu artystycznym musi z góry powątpiewać, czy pewne sztuki dadzą się bez nich na scenie naszej przedstawić. Dopiero teraz ma być zaangażowana nowa artystka p. Parżnicka.

Cały wrzesień panowała na scenie lwowskiej konkursowa komedya J. Blizińskiego *Pan Damazy*. Wesoła to komedya, pełna naturalnego humoru, zabawnych a naturalnych przy tem sytuacyi, niepospolitej werwy w toku akcyi, zasłużyła na takie powodzenie. Jeszcze dziś publiczność chętnie spieszy na przedstawienie *Pana Damazego*, bo jest pewną że się ubawi. Druga nowość sceniczna, utwór Fredry (ojca) *Wychowanka*, nie miała powodzenia tak wielkiego, jak poprzednie sztuki ze spuścizny dramatycznej tego wielkiego komedyopisarza.

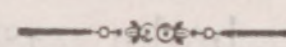
Księgarz lwowski Richter, zapowiedział, że z nowym rokiem zacznie napowrót wydawać dwutygodnik literacki p. t. *Strzecha*. Przed dziesięciu niemal laty rozpoczął p. Richter wydawnictwo tego pisma, najpierw w miesięcznych zeszytach z programem głównie powieściowym. Bogata, przez pierwszorzędnych autorów zasilana część belletrystyczna *Strzechy* i spryt przedsiębierczy wydawcy rokowały pismu bardzo świetną przyszłość. P. Richter dla rozpowszechnienia *Strzechy* zaprowadził u nas instytucyą kolporterów, o czem przed nim nikt nie pomyślał we Lwowie. Instytucya kolporterów przetrwała *Strzechę* i w miarę jak pismo upadało rozwijała się pomyślnie tak, że dziś daje zarobek wielu ludziom. *Strzecha* upadła nie dla braku dobrych powieści, bo miała ich więcej niż każde inne pismo lwowskie. Ale powieść sama nie stanowi jeszcze wartości pisma, a po za powieścią redakcya *Strzechy* dawała czytelnikom swoim najczęściej tylko wiązankę kronikarskich nowinek, które stanowczo nie należały do ram pisma belletrystycznego, lecz do kronikarskiej rubryki dzienników politycznych. P. Richter zapowiadając dziś wznowione wydawnictwo, nie przyrzeka zmian w jego programie. Po trzechletniej przerwie, w ciągu której powstały inne pisma literackie, *Strzecha* nie prędko odzyska wszystkich dawnych czytelników swoich. Wydawnictwa wznawiane natrafiają zawsze na nieufność publiczności, chociażby nawet firmę dawał tak przedsiębierczy księgarz jak p. Richter.

Mówiono tu także wiele o założeniu nowego dziennika z dążnościami konserwatywnemi. Pogłoska prędko ucichła i zapewne nie ponowi się. Po upadku „Kroniki codziennej," która bardzo tanią ceną chciała zdobyć sobie potrzebne grono abonentów, a mimo to nie zyskała większej liczby nad tę, jaką każde nowo założone pismo w pierwszej zaraz chwili zawsze otrzymuje, zakładanie nowego dziennika uchodzi słusznie za najniezawodniejszy sposób pozbycia się kapitału kilkunasto-tysiącznego, a na to w dzisiejszych czasach trudno znaleźć amatorów. Nie będziemy więc mieli czwartego z rzędu pisma codziennego, ale za to posiadamy już dwutygodnik polityczny, któremu nikt nie wróży powodzenia, bo pora jest zupełnie niestosowną na publikacye tego rodzaju. Dziś pismo codziennie wychodzące nie może zupełnie zaspokoić ciekawości swoich czytelników i musi wydawać nadzwyczajne dodatki z telegramami, więc dwutygodnik polityczny może szukać prenumeratorów tylko w kołach zajmujących się polityką ze szczególniejszem amatorstwem, a klasa ta inteligencyi jest u nas bardzo nieliczna. Prawda, że w Galicyi oddawna polityka góruje, ale wszyscy lubią ją traktować dorywczo i chcą mieć jak najwięcej informacyi i faktów bez wyrozumowanych komentarzy, a tego właśnie w dwutygodnikach szukać nie można.

B. Ł.



OBRAZY
na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych
W WARSZAWIE.



Projektowaną jest wystawa obrazów Matejki, znajdujących się u nas jako własność prywatna. Obecnie widzimy na wystawie trzy prace niewielkie rozmiarami, ale za to bogate w kolorycie i charakterystyce. Pierwsze zdaniem naszem miejsce trzyma: *Biskup Szczepanowski napominający Bolesława Śmiałego* gdy tenże znajduje się w swojej komnacie z żoną wojewody Krystyną. Niktby tam wejść nie ważył się, jeno świątobliwy kapłan, niepomny na utratę łaski królewskiej, bo ufny w zasadę w imię której gromić występnych pośpieszył. Jakiż straszliwy gniew błyska w roziskrzonej źrenicy Bolesława! Lewą ręką objął kochankę silnie, brawując przestrogi biskupie, prawą szuka oręża, a z tej twarzy krwią nabiegłej, namiętnej, hardej, widno, że pomści się zniewagi, i biada temu, kto się go hamować ośmiela. Kobieta zawstydzona, odwraca głowę, ale w jej licu więcej znać niechęć niż skruchę, a zmysłowa jej piękność, ze względu artystycznego, przepyszną tworzy harmonię z postacią króla. Osoba biskupa, pełna godności i namaszczenia, lekka jasność go otacza, zapowiedź męczeńskiej aureoli. W uchylone drzwi, wcisnęła się głowa chytra dworaka, znać podsłuchującego niezwykłe zajście, o którem wkrótce dwór cały mówić będzie. Całość, powtarzamy, śliczna, ale żałować wypada, że rozmiary tak drobne ujmują siły wrażeniu.

Bolesław Łysy Rogatka, tworzy jakoby *pendent* do poprzedniego obrazu. Na tle, krwawą łuną zachodu zabarwionego nieba, rysuje się pędzący po stepie na czarnym koniu jeździec z odkrytą głową wraz z nim niewiasta obejmująca go jedną ręką, a drugą nalewająca brunatnej małmazyi w szklankę którą jej wesoły książę nadstawia. Obok bieży teorbanista, i po strunach brząka. Demoniczna, dziwna charakterystyka odznacza ten obrazek, oraz jaskrawy, świetny koloryt.

Wierzynek przyjmujący u siebie trzech monarchów, przedstawia nam się w chwili, kiedy wychodzi z chlebem i solą na szczerozłotej tacy, aby przyjąć dostojnych gości którzy wstępują w progi jego domu. Zaszczyt ten głoszony jest miastu przez odgłos trąb w które dmą co siły pachołkowie wychyleni przez okna. Podwoje i wschody przystrojone wspaniale, zapowiadają cały przepych i bogactwa domu owego sławetnego mieszczanina. Widnieje mu z twarzy radość wielka i dobroduszna poczciwość. Rozmiary obrazu ścieśniły bardzo wspaniałość orszaku królów, i weselnych gości, a szkoda, gdyż byłoby to znakomite pole do ukazania nam po *Matejkowsku*, całego splendoru ówczesnej epoki.

Przegląd literacki.

NOWE WYDAWNICTWA
na gwiazdkę dla dzieci.

Wieczory starego nauczyciela przez p. Ignacego Świętochowskiego. Jest to zbiorek powieści dla dzieci do lat dziesięciu przeznaczony, który tak treścią jak i dramatycznem obrobieniem zasługuje na polecenie. Z taktem, nie zawsze przez innych autorów ściśle przestrzeganym, Autor dotknął tu tylko zwyczajnych uchybień, zwykle przez nieświadomość lub brak rozwagi popełnianych, wychodząc zapewne z tej zasady, że złego dziecka, szkaradne okazującego skłonności, książka choćby najlepsza nie poprawi i głównie służyć powinna dla dobrych dzieci, błądzących jedynie z braku zastanowienia. Wady też tu i zboczenia wzięte za treść opowiadania są jak najzwyczajniejsze, nie rażą wyjątkowością i nie odsłaniają złych skłonności, będących na szczęście, małej tylko liczby dzieci udziałem. Jeżeli to może stanowić zaletę tej książeczki, to dodamy jeszcze, że wszystkie w niej powiastki drukowalibyśmy chętnie w dodatku Przyjaciela Dzieci, który z zajęciem czytany przez dzieci, zyskał już uznanie tak Rodziców, jak Nauczycielek i Nauczycieli. Całe wydanie starannie dokonane, język dobry, obrazowanie wielce ożywione, prostota opowiadania zachowana wszędzie, cena zaś niewielka, gdyż książeczka z oprawą mocną i dość ozdobną, obejmującą w sobie oprócz wstępu, powiastek 24, kosztuje tylko na miejscu kop. 60.

Pokój Dziadunia — opowiadania z dziejów przeszłości dla młodocianego wieku napisał K. Wł. Wójcicki, z rycinami, nakładem Ferdynanda Hösicka. Jest to streszczona Historya Polska, począwszy od Wandy, Krakusa i Lecha aż do ostatniego rozbioru, ale nie przedstawiona szczegółowo, tylko w ogólnym szkicu, ożywionym dramatycznością zdarzeń wybitniejszych, które zajmując czytelnika dają mu jasne pojęcie dawno minionej przeszłości. W pierwszym zaraz rozdziale mieści się opis historyczny miejscowości w której mieszka Dziadunio, ożywiony niezmiernie obroną zamku przeciw Szwedom za panowania Jana Kazimierza. Następnie Dziadunio, jako starzec, który wiele zapamiętał i stał się niejako chodzącą tradycyą dawnych pamiątek, zwyczajów i obyczajów, opowiada dzieciom różne ciekawe szczegóły z przeszłością związane. Cena egzemplarza na miejscu w ozdobnej oprawie rs. 1 k. 80.

Mały zwierzyniec, historya naturalna wierszem dla dzieci ułożona przez Jana z Rzeszowa, wydana nakładem Ferdynanda Hösicka. Książeczka ta, dla mniejszych dzieci bardzo użyteczna, obejmuje w sobie krótkie opisy wierszowane zwierząt ssących, ptaków, płazów, ryb i owadów. Przy każdym prawie wierszyku mieści się rycinka, przedstawiająca opisaną istotę, ażeby dać lepsze wyobrażenie o układzie całego dziełka, podajemy tu jeden z opisów, pierwszy lepszy jaki się nasunął:

Wróbel.

Któż nie zna wróbla, tej ptaszyny szarej,
Łaknącej żyta i pszenicy jarej?
Ptak każdy od nas mieści się zdaleka,
Wróbel przeciwnie sąsiadem człowieka.
W koło chat wiejskich gospodarzy, gości
Ten żarłok — w miastach też nigdy nie pości.
Wszakże to ptaszę pożytkiem się chlubi,
Owady niszczy, gąsienice gubi,
Mniej szkody, więcej korzyści nam daje,
A zamieszkuje Europy kraje.

W tym sposobie wszystkie inne stworzenia są opisane, których liczba wynosi 76. Cena książeczki z rycinami k. 75.

Pytania i odpowiedzi. Pierwsza książeczka obrazkowa dla zabawy i nauki małych dzieci od lat 3-ch do 6-iu przez starego Nauczyciela. Rozwijanie myśli i pojęć metodą poglądową za pomocą obrazków, pytań i odpowiedzi. Nakład Ferdynanda Hösicka. Sam tytuł w całości wypisany najlepiej objaśnia cel i treść książeczki. Główną rzeczą są tu ryciny, a zapytania wśród nich pomieszczone, dają wskazówki jak z nich należy korzystać. Autor rozpoczyna od poznawania ilości, następnie różnych czynności, rozpoznawania przedmiotów, ich użyteczności, własności drzewa, wody, zboża, daje obraz pracy około niego i różnych z niego wyrobów, krów, owiec, koni, psów i wreszcie drobiu domowego. Ryciny są liczne, kolorowane i starannie odrobione. Każde dziecko chętnie się zajmie ich obejrzeniem, a zapytania odpowiednio robione, jak to drukowany tekst doradza, bardzo użyteczny wpływ wywrą na rozwijanie myśli budzącej się w umyśle dziecięcia. Cena książeczki rs. 1.

Królewscy synowie J. I. Kraszewskiego, powieść z czasów Władysława Hermana i Krzywoustego, tomów cztery, nakładem spółki wydawniczej księgarzy Warszawskich, wyszła z druku i znajduje się we wszystkich księgarniach do nabycia.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Katarzynie W. w Łodzi. Sądzimy, że Przyjaciel Dzieci spełni w zupełności życzenie. Podobne pisma francuzkie i niemieckie nie przestrzegają ściśle warunków o jakich list wspomina. Nadzwyczaj też mało korzystać z nich możemy, jeżeli zaś pomieszczamy tłomaczenia, to z licznemi poprawami i przerobieniami i głównie pomieszczamy prace oryginalne. Z tych powodów bezwarunkowego polecenia którego z pism obcych zrobić nie możemy, a nawet w wyborze książek wyłącznie dla młodzieży lub dzieci przeznaczonych, radzimy wielką ostrożność. Czasem jedna powieść z treścią nieoględnie ułożoną lub w szczegółach błednie ułożoną, może zwichnąć pojęcia młodych czytelników na bardzo długie lata. *Przyjaciel* starannie tego unika.

Panu Zenonowi I. w Petersburgu. Wiadomości ze stolicy Cesarstwa chętnie przyjmiemy, szczególniej o ruchu literackim i pracach społecznych z coraz większym pożytkiem dla ogółu społecznego rozwijanych.

Pani J. M. w Ko... Wierszyki uczucia mają wiele, znać w nich serce zacne i myślącą główkę, ale forma cokolwiek zaniedbana.

Ogłoszenie.

W dalszym ciągu wydawnictwa p. t. *Systematyczny kurs nauk*, przeznaczony do pomocy w wychowaniu domowem **Augusta Jeskego** wyszła książka p. t.

Pokój dziecinny

Podręcznik w duchu Froeblowskim

dla użytku matek.

Z 20 tablicami wzorków litograficznych, zawierający *poglądowy* sposób rozwijania władz umysłu i serca dzieci od lat 3 do 6 przez praktyczne zajęcie odpowiedniemi młodocianemu ich wiekowi robótkami ręcznemi, przeplatanemi krótkiemi powiastkami, bajeczkami, piosenkami i wierszykami.

Ułożył T. Nowosielski.

Cena (*już w oprawie*) Rs. 1 kop. 20.

Do nabycia we wszytkich księgarniach krajowych i zagranicznych.

Wydawca S. Arct księgarz w Lublinie.

Przyjaciela Dzieci Nr. 47 wyszedł z druku i zawiera:

Sukiennice (z drzeworytem). — Czarne Indye. — Róże (wiersz). — Wet za Wet (komedyjka w 1 akcie). — Czyny nauczające. W dodatku: Niedobra opiekunka (z drzeworytem). — Przygody Janka i Marylki. — Gniazdko (wiersz). — Niewłaściwe żarty. — Ogrodnik i prostak (wiersz). — Bobry (z drzeworytem). — Wspomnienia z przeszłości.

Prenumerata wynosi kwartalnie:
w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do ***J. K. Gregorowicza.*** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Helena Dąbrowska

przedstawia Guwernantki i Guwernerów tak cudzoziemców jak i krajowego pochodzenia. **Adres:** *Pani Helena Dąbrowska, w Warszawie, Krakowskie Przedmieście Nr. 71, wprost wystawy obrazów Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych.* Imię *Helena* należy zawsze wypisywać.

SPROSTOWANIE.

Pani Barbara Machnicka, o której biednem położeniu donieśliśmy w przeszłym N-rze Tygodnika Mód i Powieści, nie mieszka przy ulicy Brackiej jak to mylnie donieśliśmy, ale przy ul. Dobrej pod N. 10 w suterynach.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i duży arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 10 (22) Ноября 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 47.

(Dokończenie).

N. 30—32. Opisy i krój na arkuszu N. IV, V i IX.

N. 33. Płaszczyk dla dziecka noszonego na ręku.



N. 3. Paletocik z boku zapinany, dla panienki lat 8—10. Patrz ryc. 4. Krój na arkuszu N. XII, Fig. 68—74.

Dla dogodności w noszeniu, płaszczyk ten ma z prawej strony rozporek do wkładania ręki; wykończony jest z wełnianego popielatego materyału na ponsowej kaszmirowej podszewce lekko podwatowanej i przepikowanej. Długość płaszczyka wynosi 88 cent., dolny obwód 200 cent. z których 102 liczą plecy aprzody po 49. Pelerynka zakończona plisowaniem z materyi i dwoma rzędami stębnówki.

N. 34—35. Paletocik dla dzieci lat 3—5. Krój dopasować można podług ryc. 3—4 w N. 47.

Odrobiony z popielategu *bouclé*, puszczony z przodu a wcięty z tyłu odpowiedni jest zarówno dla małych dziewczynek i chłopczyków. Wypustki z popielatego jedwabnego repsu otaczają kołnierzyk, patki przy boczkach i kieszonki po 11 cent. długie. Guziki pokryte repsem dopełniają przybrania.



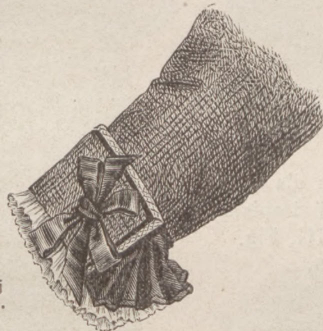
N. 1—2. Sukienka princesse dla panienki lat 8—10. Krój na arkuszu N. XIV, Fig. 48—92.



N. 5. Paletot dla chłopca lat 9—11. Krój i opis na arkuszu N. XIII, Fig. 75—83-a.



N. 6. Rękaw do sukni ryc. 36—37.



N. 7. Rękaw do sukni ryc. 36—37.

N. 36—39. Opisy na arkuszu z krojami N. II i III.

N. 40—41. Koszyczek do kluczyków zdobny lambrekiną.

Materyał: czarne sukno, kolorowa włóczka, grube sznury jedwabne kwaściki i ponsowa materya na podszewkę.

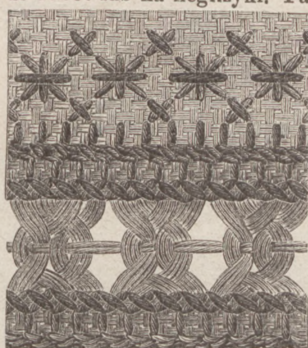
Rycina 40 załącza w naturalnej wielkości lambrekinę zdobiącą podłużną stronę koszyczka; haft wykonany jest dzieloną włóczką angielską na tle z czarnego sukna. Przyszycie lambrekin i podszewki przysłania gruby jedwabny sznur idący brzegiem koszyczka; pałączek zdobi przerzucenie jedwabnego sznura z kwastami.

N. 42 i 49 tudzież 19—20 w N-rze 46. Poduszka do kanapy.

Uszyta z ponsowego aksamitu ozdobiona jest pasami cienkiego białego płótna5 cent. szerokiemi, haftowanemi kolorową filozelą i cienkim sznureczkiem złotym, 1 $^1/_2$ cent. szeroką nicianą koronką. Układ pasów wskazuje ryc. 42 a desenie haftu ryc. 49 i 19—20 w przeszłym N-rze.



N. 8. Kosz do robót lub na negliżyki. Patrz ryc. 9—10.



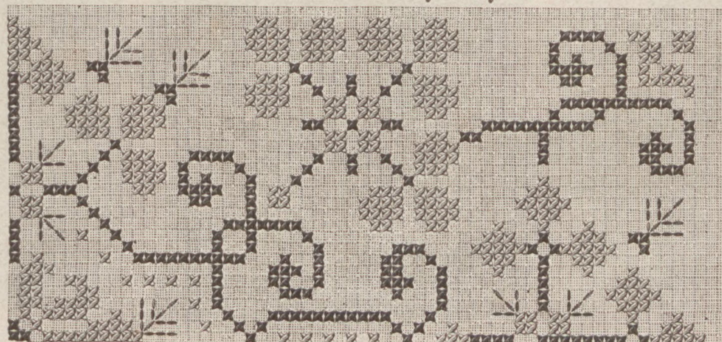
N. 9. Brzeżek ażurowy do ryc. 8.



N. 11. Garnirunek do sukni ryc. 36—37.

N. 43. Kamasz damski robiony na drutach.

Zaczyna się do górnego brzegu na 89 oczek i robi w koło tak jak pończocha 2 o. gł., 2 kr.; jest to robota tak prosta iż opis szczegółowy uważamy zbytecznym.



N. 10. Czwarta część deseniu na wieko koszyczka ryc

N. 43. Szailk robiony na drutach i szydełkiem.

Materyał: włóczka w dwóch kolorach np. biała i niebieska.

Szalik ten robi się w dwóch kawałkach oddzielnych zaczynając od dołu i spaja w środku małym kwadracikiem także oddzielnie wykończonym. Zaczyna się każdą połowę na 24 oczek i robi gładko tam i na powrót; zęby tworzą się przez jednostajne gubienie środkowego oka (12 z 13-tem) i przybieranie 1 oka na początku każdego rzędu. Kończąc ząb jednego koloru trzeba nitkę uciąć a przyrobić drugi kolor. Kwadracik łączący obie połowy zaczyna się 1 o. i robi gładko tam i napowrót, przybierając 1 o. na początku rzędu aż do 15 o., które przerabia się dwa razy; druga połowa w innym kolorze robi się w tenże sposób lecz gubiąc po 1 o. w miejsce przybierania. Końce szalika obrobione szydełkowemi ząbkami i zakończone kwaścikami.



N. 4. Paletocik z boku zapinany. Plecy do ryc. 3.

N. 45. Żabot ze wstążki koronki i kwiatów.

Skos jedwabnego repsu koloru tilleul, 12 cent. szeroki, służy do ułożenia pukla z węzłem, z pod którego spadają dwa końce 7 i 13 cent. długie, zdobne koronką nicianą 5 cent. szeroką, ułożoną w kontrafałdy. Białe stokrotki na miękkich korzonkach stanowią przyozdobienie i przyczepiają się podług ryc. 45.

N. 46 i [illegible] w N-rze 46. Żabot muślinowy z koronką i wszywką.

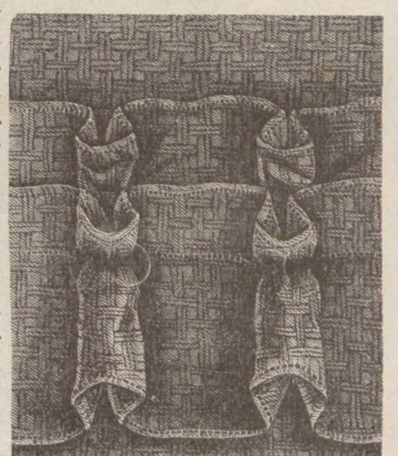
Dwa pukle ułożone są ze skosów muślinu 10 cent. szerokich 20 cent. długich, oszytych brzegiem nicianą koroneczką i przepięte zręcznym węzłem. Końce nie równej długości ozdobione są pasem wstawki wyszytej supełkami podług ryc. 21 w N. 46, i szeroką koronką nicianą.

N. 47—48. Dwa wachlarze.

Załączamy dwa modele modnych wachlarzy z których jeden ozdobiony jest malowaniem na materyi, drugi ułożony z piór gładkich łabędzich, pomalowanych na końcach w pawie piórka.

N. 50. Dywanik haftowany kolorową włóczką. Deseń na arkuszu z krojami Fig. 94.

Ciemno-szafirowy filc stanowi tło dywanika, 128 cent. długiego a 68 szerokiego. Fig. 94 załącza deseń szlaku haftowanego włóczką angielską; najrozmaitsze rodzaje ściegów znajdują tu zastosowanie, jako to: ścieg łańcuszkowy, cierniowy, sznureczkowy, haft płaski, nitki przytwierdzane poprzecznemi ściegami służą do znaczenia konturów; siatka z nitek wiązana ściegami zapełnia listki. Pod cały dywanik daje się podszewkę z szarego płótna; brzegi zdobi frendzla 8 cent. szeroka.



N. 12. Garnirunek do sukni ryc. 36—37.



N. 13. Kapelusz aksamitny zdobny piórami. Patrz ryc. 14.



N. 15. Paletocik z wciętemi plecami dla panienki lat 11—13. Patrz ryc. 16.



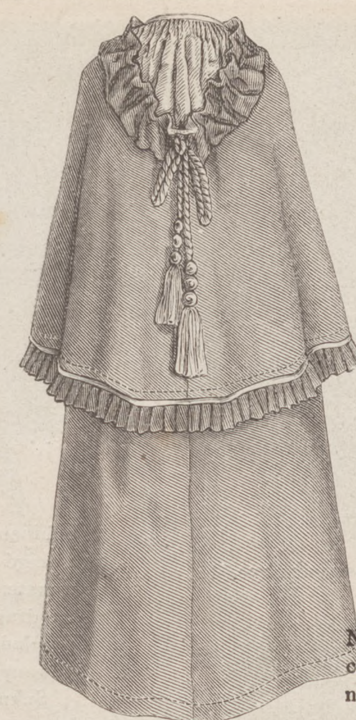
N. 17. Burnus z kapturkiem. Krój i opis na arkuszu N. IV, Fig. 12—14a.



N. 18. Paletocik dla chłopczyka.

19. Paletocik dla ...ecka lat 3 — 5. Patrz ryc. 22.

N. 20. Paletocik z przybraniem á la breton. Patrz ryc. 21.



N. 38. Płaszczyk dla dziecka noszonego na ręku.



N. 16. Paletocik z wciętemi plecami. Patrz ryc 15. Krój i opis na arkuszu N. VI Fig. 24—28a.



N. 14. Kapelusz aksamitny zdobny piórami.

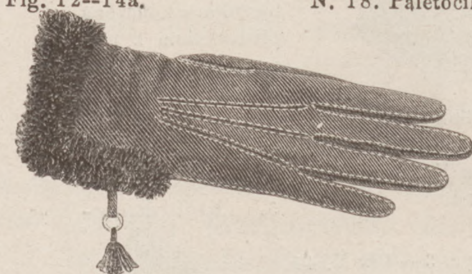


N. 21. Paletot z przybraniem á la breton. Patrz ryc. 20. Krój na arkuszu N. VII, Fig. 29—34.

N. 22. Paletocik dla dzieci lat 3—5. Krój i opis na arkuszu N. VIII, Fig. 35—39.



N. 23—24. Suknia zdobna naszyciem w pasy. Krój i opis na arkuszu N. I, Fig. 13-a.



N. 28. Rękawiczka podszyta futrem.



N. 29. Modny ...rz futrzany.



N. 27. Rękawiczka podszyta futrem.



N. 36—37. Suknia z vêtement. Krój i opis na arkuszu N. II, Fig. 4—6.



N. 34—35. Paletocik dla chłopca lat 3—5.



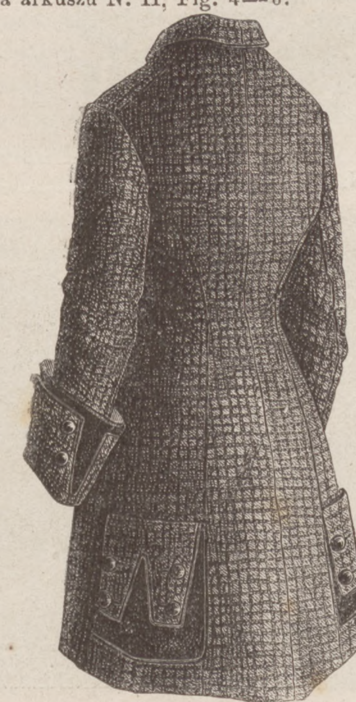
N. 25. Stanik do sukni ryc. 32—34. Krój i opis na arkuszu N. XI, Fig. 58—66.

N. 26. Weinany paletot. Patrz ryc. 31 i ryc. 16. Krój i opis na arkuszu N. V, Fig. 15—20-a i 22—23.

N. 30. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Patrz ryc. 17 w N. 46. Krój i opis na arkuszu N. IX, Fig. 44—49-a.

N. 31. Paletot długi weinany. Patrz ryc. 26. Krój i opis na arkuszu N. V, Fig. 15—21-a.

N. 32. Burnus z kapturkiem. Patrz ryc. 17. Krój i opis na arkuszu N. IV, Fig. 12—14-a.

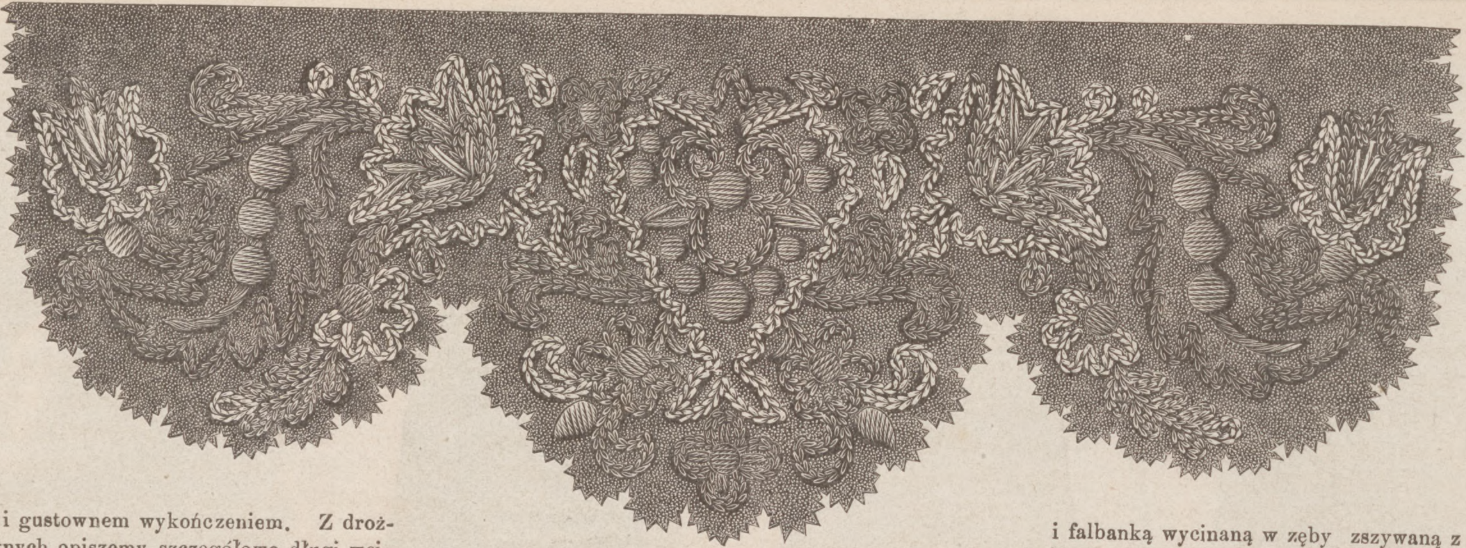


N. 39. Kaftanik z szalowym kołnierzem. Patrz ryc. 39. Krój i opis na arkuszu N. III, Fig. 7—11-a.



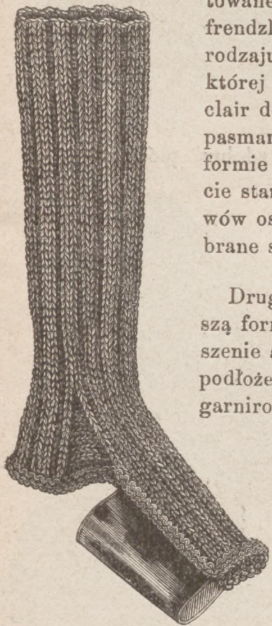
N. 39. Kaftanik z szalowym kołnierzem odpowiedni do sukni ryc. 36 — 37. Krój i opis na arkuszu N. III, Fig. 7—11-a.

O Ubiorach.



N. 40. Lambrekina do koszyczka ryc. 41.

W przeglądzie nowości jesiennych i zimowych w magazynie p. Thonnes uwagę naszą zwróciły wspaniałe okrycia jesienne odznaczające się doborem materyałów i gustownem wykończeniem. Z droższych okryć aksamitnych opiszemy szczegółowo długi wcinany paletot, na jedwabnej lekko watowanej podszewce, zdobny kosztowną frendzlą jedwabną w zupełnie nowym rodzaju, półłokciowej szerokoś ci z pod której wysuwała się węższa z perełek clair de lune. Na plecach naszycie z pasmanteryi jedwabnej, spuszczonę w formie szpiczastego zęba aż po za wcięcie stanu. Wykrój szyi i brzeg rękawów oszyty frendzlą; kieszenie przybrane szmuklerskiemi ozdobami.



N. 43. Kamasz robiony na drutach.

Drugi paletot czarny jedwabny krótszą formą, miał rękawy, kołnierz i kieszenie aksamitne; środkiem pleców na podłożeniu aksamitnem szło sute nagarnirowanie z wachlarzowo układanej koronki, przody miały takiż sam pas garnirowania, złożony w jednem miejscu w pukiel, podwatowany w środku i zastępujący mufeczkę; dolny brzeg przodów zakończony bogatą pasmanteryą jedwabną z clair de lune. Inne okrycie koloru popielatego, formą zbliżone do dolmanu, miało podszewkę ponsową; brzeg dolny oszyty szeroką sznelową frendzlą popielatą z grelotkami białemi z ponsowem; rękawy zdobne frendzlą i sznurem z kwastami.

Paletoty czarne z matelassé zdobne aksamitem, materyą i frendzlą, z guzikami kamiennemi lub szmuklerskiemi lub paletoty z miękkiego włochatego materyału są najpraktyczniejsze na dnie jesienne i znacznie tańsze od aksamitnych.

Na suknie jesienne sprowadzono kaszmiry indyjskie w różnych kolorach — jest to materyał bardzo trwały w noszeniu i odpowiednio przybrany stanowi bardzo gustowne suknie wizytowe i spacerowe; neigé w jasne lub kolorowe prążki na tle ciemnem, materyały przerabiane nie gładko nakształt supełków, gładkie wełniane i materye faille na strojne toalety.



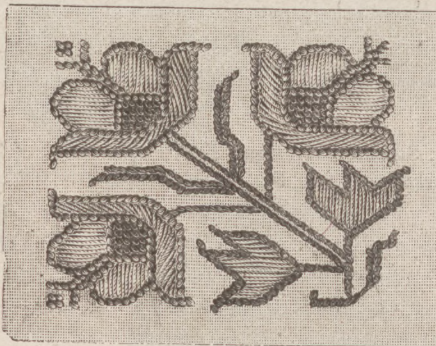
N. 42. Poduszka do kanapy. Patrz ryc. 40 i 49.



N. 41. Koszyczek do kluczy. Patrz ryc. 40.



N. 45. Żabot z wstążki i koronki zdobny kwiatami.



N. 49. Deseń do ryc. 42.



N. 47. Wachlarz jedwabny ozdobiony malowaniem.



N. 50. Dywanik z haftowanym szlakiem. Deseń na arkuszu Fig. 94.

Z gotowych sukien do ubrania spacerowego lub na wizyty w ciągu dnia odznaczały się nowym rodzajem wykończenia następujące:

Suknia z materyału bronzowego gładkiego i neigé miała spódnicę zdobną plisowaniem i falbanką wycinaną w zęby zszywaną z pasków gładkich i neigé tak iż zęby wypadały naprzemian. Vêtement z materyału neigé z tyłu jeden bok miał gładko odwinięty, drugi brzegiem wycięty w patki, fantazyjnie przepinane gładką plisą i zręcznie udrapowany w górze.

Suknia wełniana ciemno-zielonawego odcieniu miała vêtement przybrane z tyłu przepięciem z czterech kokard z ciemno-zielonej materyi, u dołu zaś trzy zachodzące na siebie plisy aksamitne z wypustką jedwabną; rękawy aksamitne. Przody od góry skośno zapinane niżej przefałdowane nakształt draperyi. Suknia czarna kaszmirowa formą princesse zdobna u dołu plisowaną falbanką nad którą szło drobniutkie plisowanie przeszyte środkiem dwa razy w szpiczaste zęby. Przody zapinały się z boku w całej długości na guziki szmuklerskie. Od lewego boku do tyłu szły dwie draperye spuszczone w ząb, zebrane z tyłu pod dwoma rozetami szmuklerskiemi, oszyte udołu frendzlą szmuklerską.

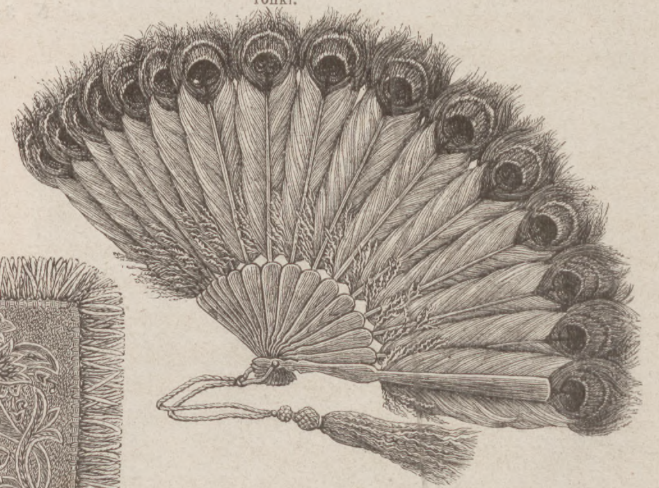


N. Szalik robiony na drutach.

Strojne wizytowe ubranie stanowiła suknia czarna z indyjskiego kaszmiru zakończona u dołu marszczoną i plisowaną jedwabną falbanką. Fantazyjne udrapowanie spódnicy tworzyło z przodu jakby tunikę spadającą w fałdach na falbanki; od boków wysuwały się cztery końce z szerokiej wstążki związane lekko na środku przodu w dwie kokardy. Boki złożone w podłużne płaskie fałdy u dołu oszyte frendzlą jedwabną z perełkami clair de lune. Stanik z tyłu miał od środkowych części pleców spuszczone niezbyt szerokie proste końce przewiązane w fantazyjny węzeł, z przodu baskina jak u kirasa oszyta frendzlą.



N. 46. Żabot z muślinu, wstawki i koronki.



N. 48. Wachlarz z piór.

(Dokończenie nastąpi).

Tygodnik Mód

w Warszawie 1877 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 46 i 47.

N. IX. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Ryc. 17 w Nrze 46 i ryc. 30 w Nrze 47.

- Fig. 44. Przodek (A, C, D, E, I, G)
- Fig. 45. Pierwsza część pleców (A, B, D)
- Fig. 46. Druga część pleców (C, B, H)
- Fig. 47. Zwierzchnia i spodnia część rękawa (A, D, E, F, G, ✲)
- Fig. 48. Połowa paska do kołnierza (H, I, K)
- Fig. 49. Połowa kołnierza I, K)

Fig. 44a—49a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 44—49.

Zręczny płaszczyk przedstawiony na ryc. 17 i 30 niewiele się różni do formy zwanej *havelock.* Podane na Fig. 44—46, górne części formy, trzeba podług miary dopełnić. Szeroki rękaw Fig. 47, składa się z dwóch części, które zeszywają się ze sobą od E—F; zwierzchnia część wszywa się do otworu pachy do E—D, a brzegiem bocznym prostym od D do gwiazdki, przyszywa się do drugiej części pleców, w miejscu oznaczonem cienką linijką i gwiazdką, na Fig. 45a. Spodnia część rękawa wszywa się do otworu pachy aż do A, dalej zaś aż do G, pomiędzy zeszycie przodu z plecami. Pozostałą lóżną część pachy od A—D obejmuje się skośną listewką. Wykrój pod szyją wszywa się w pasek podany na Fig. 48, do którego następnie przyczepia się od K—I, kołnierz uszyty oddzielnie; zaś końce kołnierza przekładają się na krzyż i zapinają na guzik. Ryc. 30 w Nrze 46 przedstawia z przodu płaszczyk z jedwabnego repsu podszyty królikami; na ryc. 17 w Nrze 45 podajemy z tyłu płaszczyk z wełnianego materjału, obadwa obłożone futrem i przybrane pasmanterją, oprócz której do przybrania pleców przy ryc. 17, użyty jest aksamit, a do ryc. 30 matelassé.

N. X. Forma półwcinanego paletocika, z rozmaitemi rodzajami zapięcia. Ryc. 5—7 w Nrze 46.

- Fig. 50. Przód z odznaczonem linijką zapięciem skośnem do paletotu, ryc. 7 (L, M, P, Q, R, W) jedno załamanie formy
- Fig. 51. Boczek (L, M, N, O, Z, :, •, +)
- Fig. 52. Plecy (N, O, P, Q, V, • +) jedno załamanie formy
- Fig. 53. Rękaw (R, S, T, U)
- Fig. 54. Wyłożenie do rękawa (S, U, ✲)
- Fig. 55. Połowa paska do kołnierza (V, W, X, Y)
- Fig. 56. Ranwers do kołnierza (X, Y)
- Fig. 57. Połowa kieszonki (Z, :)

Fig. 50a—57a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 50—57.

N. XI. Stanik złożony z kilku części i spódnica z wstawionym trenem, do ryc. 32—34 w Nrze 46 i ryc. 25 w Nrze 47.

Miara połowy górnej objętości stanika: 48, w pasie 32 cent.

- Fig. 58. Pierwsza część przodu (a, b, n)
- Fig. 59. Druga część przodu (a, b, c, d)
- Fig. 60. Trzecia część przodu (c, d, e, f, o, p)
- Fig. 61. Boczek (e, f, g, h)
- Fig. 62. Pierwsza część pleców (g, h, i, k, o)
- Fig. 63. Druga część pleców (i, k, l, m)
- Fig. 64. Trzecia część pleców (l, m, n, ✲)
- Fig. 65. Rękaw (p, q, :, +, •)
- Fig. 66. Mankiet podwójny (•)
- Fig. 67. Zmniejszony rysunek zestawionych brytów spódnicy wraz z częścią garnirunkową.

a. Połowa bryta przedniego z plisami aksamitnemi, b. bryt boczny, c. bryt tylny, d. połowa wstawionego trenu, e. część garnirunkowa.

N. XII. Paletot z boku zapinany, dla panienki lat 8—10. Ryc. 3—4 w Nrze 47.

- Fig. 68. Przód (r, s, u, v, w, •)
- Fig. 69. Boczek (r, s, t, ✲, :)
- Fig. 70. Plecki (t, u, v, ✲, :, +)
- Fig. 71. Rękaw (w, x, y, z)
- Fig. 72. Połowa mankieta (z)
- Fig. 73. Połowa kołnierza (+, •)
- Fig. 74. Kieszonka

N. XIII. Paletot dla chłopczyka lat 9—11. Ryc. 5 w Nrze 47.

- Fig. 75. Przodek (1, 2, 3, 6, 8, 9, 10, 11, 12)
- Fig. 76. Połowa pleców (1, 2, 3, 7, ✲, :)
- Fig. 77. Rękaw (4, 5, 6)
- Fig. 78. Patka do wykładu przy rękawie
- Fig. 79. Kołnierz (7, 8)
- Fig. 80. Patka do kołnierza
- Fig. 81. Połowa patki do bocznej kieszeni (9, 10)
- Fig. 82. Patka do kieszonki na piersiach (11, 12)
- Fig. 83. Patka do spięcia z tyłu (✲, :)

Fig. 75a—83a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 75—83.

Paletot z przodami dobrze zachodzącemi na siebie, zapinany pod szyję lub z odwiniętemi wykładami, odrobiony z popielatego wełnianego materjału z długim włosem; czarne rogowe guziki i linje stębnówki stanowią przybranie. Wzdłuż przodów pod guziki i dziurki podszywa się listwę 7 cent. szeroką, od góry zaś, jeżeli mają być odwijane wykłady, trzeba poddać materjał taki jak na paletocie. Przy przecięciach na kieszonki podszyte są od spodu półokrągłe kawałki liczące na dolne kieszenie po 14½ cent. na górną małą kieszonkę 8 cent. długości. Kołnierz kraje się podług Fig. 79, z podwójnie złożonego materjału; jeżeli ma być postawiony w górę, to zapina się na małą patkę, zakładaną na guziczki przyszyte podług Fig. 79. Plecy przepięte są klapką, przyczepioną podług znaków na szwach bocznych.

N. XIV. Sukieneczka princesse dla dziewczynki lat 8—10. Ryc. 1-2 w Nrze 47.

- Fig. 84. Pierwsza część przodu (13, 14, 19, 28)
- Fig. 85. Druga część przodu (13, 14, 15, 16, 20, 21, 29)
- Fig. 86. Boczek (15, 16, 17, 30)
- Fig. 87. Pierwsza część pleców (17, 18, 20)
- Fig. 88. Druga część pleców (18, 19, 27)
- Fig. 89. Rękaw (21, 22, 23, 24, 25, 26)
- Fig. 90. Połowa mankieta (25, 26)
- Fig. 91. Połowa kołnierza (27, 28)
- Fig. 92. Połowa kieszonki (29, 30)

N. XV. Czapeczka dla chłopca. Ryc. 28 w Nrze 46.

- Fig. 93. Połowa główki (:, ✲, ✕ 1 i • 1 do ✕ 2 i • 2)

Różne desenie.

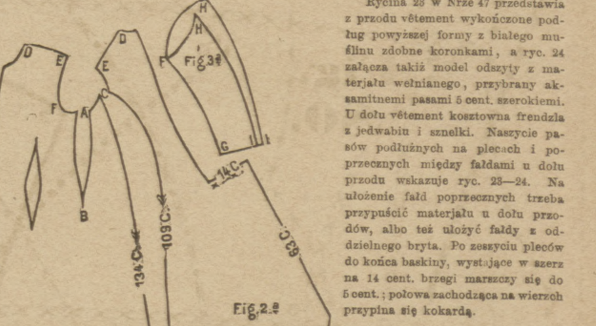
- Fig. 94. Czwarta część szlaku do dywanika. Ryc. 50 w Nrze 47.
- Fig. 95. Deseń na koronkę nicianą, robioną ręcznie. Ryc. 18 w Nrze 46.
- Fig. 96. Haft na kołderkę. Rycina będzie w dalszych numerach.

Tygodnik Mód

w Warszawie 1877 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 46 i 47.

N. I. Vêtement zdobne przybraniem z pasów. Ryc. 23–24 w Nrze 47.
Miara objętości przez połowę: 49 cent. w gorsie, 37 w pasie.
Fig. 1. Przód i bok (A, B, C, D, E, F)
Fig. 2. Połowa pleców (C, D, E)
Fig. 3. Rękaw (F, G, H, I)
Fig. 1a—3a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 1—3.



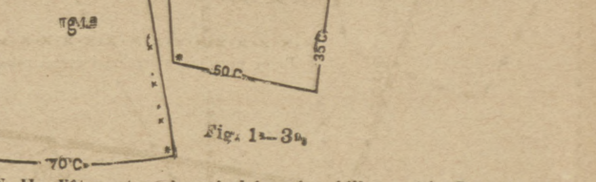


Fig. 1a—3a.

Rycina 23 w Nrze 47 przedstawia z przodu vêtement wykończone podług powyższej formy z białego muślinu zdobne koronkami, a ryc. 24 załącza takiż model odszyty z materjału wełnianego, przybrany aksamitnemi pasami 5 cent. szerokiemi. U dołu vêtement kosztowna frendzla z jedwabiu i sznelki. Naszycie pasów podłużnych na plecach i poprzecznych między fałdami u dołu przodu wskazuje ryc. 23—24. Na ułożenie fałd poprzecznych trzeba przypuścić materjału u dołu przodów, albo też ułożyć fałdy z oddzielnego bryta. Po zeszyciu pleców do końca baskiny, wystające w szerz na 14 cent. brzegi marszczy się do 5 cent.; połowa zachodząca na wierzch przypina się kokardą.

N. II. Vêtement z plecami złożoneni z kilku części. Ryc. 36—37 w Nrze 47.
Przód, bok i rękaw krajać podług. Fig. 1—3.
Fig. 4. Pierwsza i druga połowa pleców (C✻, D✻, E✻, K, L, X 1 i • 1 do X 2)
Fig. 5. Połowa mankieta
Fig. 6. Zestawione razem części kroju.

N. III. Paletocik z szalowym kołnierzem. Ryc. 38—39 w Nrze 47.
Fig. 7. Przód (M, N, Q, R, T, ✻)
Fig. 8. Boczek (M, N, O, P, ⁝, ✻)
Fig. 9. Połowa pleców (O, P, Q, R, S)
Fig. 10. Połowa kołnierza (S, T)
Fig. 11. Połowa kieszeni ⁝, ✻)
Fig. 7a—11a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig 7—11.

Suknia z vêtement i kaftanik. Ryc. 36—39, 6—7 i 11—12 w Nrze 47.

Każdy rodzaj materjału użyty być może na ubranie przedstawione na ryc. 36–37, które do wyjścia na ulicę dopełnia się paletocikiem ryc. 38—39. Suknia ryc. 36 przybrana jest u dołu garnirunkiem 22 cent. szerokim, ułożonym podług ryc. 12. Inny rodzaj garnirunku wskazuje ryc. 11. Przody vêtement krają się podług formy Fig. 1, lecz z niejakiemi zmianami w dolnej połowie, które wskazuje Fig. 6 (porównać z Fig. 1a). Z jednego boku przody i plecy złączone są z sobą w całej długości i przez założenie fałd skrócone do 111 cent.; przednia długość założona jest podług ryc. 37 w poprzeczne fałdy skracające ją do 132 cent. Z drugiego boku brzeg pleców, oszytych w dołu wypustką, zbiera się w fałdy na 67 cent. od góry i łączy z przodem pasując gwiazdką do gwiazdki; od gwiazdki plecy opuszczone są w ząb około 20 cent. długi. Po nad fałdami z boków dane są guziki i odznaczone dziurki. Szerokość zbywająca między czterema częściami pleców podkłada się w fałdy od spodu. Rękawy przybrać można podług ryc. 6—7. Paletocik kraje się podług Fig. 7—11; przyszycie kieszeni odznaczone jest na Fig. 8. Brzegiem vêtement i paletocika dana jednakowa wypustka.

Fig. 7a—11a.

N. IV. Burnus z kapturkiem. Ryc. 17 i 32 w Nrze 47.
Fig. 12. Połowa burnusa (U, V, W, X, Y)
Fig. 13. Połowa kapturka (W, X, Z, X 3 i • 3 do X 7 i • 7)
Fig. 14. Połowa paska od szyi (W, X, Y)
Fig. 12a—14a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 12—14.

Na Fig. 12 oznaczona jest długość i szerokość burnusa, tudzież kierunek biegu nitek podłużnych. Proste brzegi obydwóch połówek burnusa zeszyte są środkiem pleców. Model odrobiony był z popielatego, miękkiego o długim włosie materjału, zwanego *mousse* i miał wzdłuż przednich brzegów podwójną wypustkę jedwabną a od spodu listewkę 5 cent. szeroką z materjału wełnianego; dolny brzeg burnusa jest obrabiony krytym szwem. Kapturek (Fig. 12) wyłożony materją i sfałdowany podług odpowiednich znaków, wywija się w miejscu oznaczonem linją kropkowaną i przyszywa do burnusa od W—X; wykrój szyi wraz z kapturkiem wszyty w wąski pasek. Riusza z piór i sznury jedwabne z kwastami stanowią przyozdobienie kapturka.

Fig. 12a—14a.

N. V. Forma wcinanego paletota. Ryc. 16 w Nrze 46 i ryc. 26 i 31 w Nrze 47.
Fig. 15. Pierwsza część przodu (a, d, n, o, p)
Fig. 16. Druga część przodu (a, b, e, f)
Fig. 17. Pierwsza część pleców (b, c, e)
Fig. 18. Druga połowa pleców (c, d. m)
Fig. 19. Rękaw (f, g, h, i)
Fig. 20. Wykład do rękawa (g, k, l)
Fig. 21. Połowa kołnierza do ryc. 16 w Nrze 46 i 31 w Nrze 47 (m, n)
Fig. 22. Połowa kołnierza do ryc. 26 w Nrze 47 (m, o, p)
Fig. 23. Połowa kieszonki do ryc. 26
Fig. 15a—21a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 12—21, paletota ryc. 16 w Nrze 46 i ryc. 31 w Nrze 47, tudzież oznaczenie linją kropkowaną brzegów paletota ryc. 26 w Nrze 47.

Fig. 15—21 podaje formę paletota, przedstawionego z przodu i z tyłu, który odrabia się podług miary krótszej lub dłuższej, jak na ryc. 26 lub 31. Za materjał służy mousse, syberyna w deseń matelassé lub inny miękki zimowy wełniany wyrób. Krótszy paletot kraje się z przodu o 24, z tyłu o 20 cent. krócej od formy, podług odznaczenia linją kropkowaną. Przody są zupełnie nowego rodzaju gdyż każda ich połowa składa się z dwóch części; mogą, głęboko zachodząc na siebie, zapinać się dwoma rzędami i zachodzić pod samą szyję lub odwijać w wykłady. Wykrój szyi musi być dopasowany odpowiednio do jednej lub drugiej formy kołnierza. Rękawy można ozdobić tylko trzema guzikami przy szwie zwierzchnim, lub wykładem jak na ryc. 31. Na wszystkich szwach można dać wypustkę jedwabną ze sznureczkiem, która idzie również u dołu, przy kołnierzu, wykładach i kieszonce.

Fig. 15a—21a.

N. VI. Połwcięty paletocik dla panienki lat 11—13. Ryc. 15—16 w Nrze 47.
Fig. 24. Przód (q, r, t, u, v, ✻)
Fig. 25. Boczek (q, r, s)
Fig. 26. Połowa pleców (s, t, u, z)
Fig. 27. Rękaw (v, w, x, y)
Fig. 28. Połowa kołnierza (z, ✻)
Fig. 24a—28a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 24—28.

Podając formę paletocika, odznaczyliśmy (na Fig. 26 zataczającej formę pleców) zarazem linją prostą plecy złożone z czterech części. Potrzebna długość i szerokość wypisana jest na formie. Paletocik z czarnego matelassé (ryc. 15) zapięty na dwa rzędy, ma na szwach dodaną wypustkę repsową ze sznureczkiem. Wzdłuż brzegów przednich trzeba podszyć od spodu listewkę. Wykłady na rękawach odznaczone na formie linją prostą, kieszonki i kołnierz oszyte są galonem lub pletnią 5 cent. szeroką i ozdobione guzikami.

N. VII. Paletocik zdobny galonem à la breton dla dzieci lat 2—4. Ryc. 20—21 w Nrze 47.
Fig. 29. Zachodząca pod spód połowa pleców (1, 2, ✻)
Fig. 30. Druga połowa przodów (1, 2, 3, 4, 7, 8, ✻
Fig. 31. Boczek (3, 4, 6, 7)
Fig. 32. Połowa pleców (1, 5, 6, 7, 12)
Fig. 33. Rękaw (8, 9, 10, 11)
Fig. 34. Połowa kołnierza (12, ✻)

N. VIII. Paletocik dla dziecka lat 3—5. Ryc. 19 i 21 w Nrze 47.
Fig. 35. Przód (13, 14, 15, 16, 17, 19, 20, 21)
Fig. 36. Połowa pleców (13, 14, 15, 16, 18)
Fig. 37. Rękaw (17, 18)
Fig. 38. Połowa marynarskiego kołnierza (18, 19
Fig. 39. Połowa kieszonki (20, 21)

Paletocik odrobiony był z ciemno-bronzowego welursu, oszyty futrem na 5 cent. szerokości i ozdobiony wyszyciem z bronzowej pletni ½ cent. szerokiej. Przody krają się podług Fig. 35; linja naszycia futra oznaczona jest na przodzie, zachodzącym na wierzch a na przodzie idącym pod spód naszyte są guziki do których odpowiednie dziurki obrabiają się w oddzielnej listewce podszytej od spodu. Plecy dopełnione są u dołu częścią 34 cent. długą i 45 szeroką, złożoną u góry w trzy kontrafałdy.

Desenie do ryciny 22—23 i 27 w Nrze 46.
Fig. 40. Szlak na szersze pasy } ścieg łańcuszkowy do krzesła, podnóżka.
Fig. 41. Wąski szlaczek }
Fig. 42. Połowa środkowego przyozdobienia } na kapelusku ryc. 27.
Fig. 43. Połowa bocznego wyszycia }

Fig. 24a—28a.